

SIERPIEŃ 11

NUMER 2

ELEKTRONICZNY MAGAZYN LITERACKI

@trament

Harry Potter i kociołek agresji

Nowoczesna
czarownica



Oraz:

Poezja
Migawki
Moja książka
Poradnik pisarza
Recenzowo
Opowiadania

**Magia w wierzeniach
i obrzędach słowiańskich**



Patronat i wsparcie techniczne:
portal literacki PubliXo.com
wydawnictwo [My Book](http://MyBook.com)
ISSN 2083-7356

Redaktor Naczelna: Beata Szymura

Teksty w numerze:

Krystyna Habrat
Nadia K.
Martin Kobiela
Małgorzata Krawczyk
MojaWyspa (DS.)
Anna Nawrot
Regina Orzechowska
Marek Pełka

Katarzyna „Immora” Pietraszko
Aneta Rzepka
Alf Soczyński
Katarzyna Sternalna
Beata Szymura
Adrian Świdorski
Anna Teodorczyk

Skład/lamanie i korekta: Beata Szymura

Okladka: Anna Teodorczyk

Zdjęcia: MojaWyspa (DS.)

Kontakt z redakcją: atrament@publixo.com

zapraszamy także do dyskusji na forum „[@tramentu](#)”
oraz do odwiedzenia nas na [Facebooku](#)

wersję na e-czytniki (EPUB) znajdziesz na stronie:
www.publixo.com/atrament

Wszystkie teksty w „[@tramencie](#)” są chronione prawem autorskim. Kopio-
wanie i rozpowszechnianie bez zgody autorów jest zabronione.

Magazyn elektroniczny „[@trament](#)” jest BEZPŁATNY. Niedozwolona jest
sprzedaż całości ani jakichkolwiek fragmentów.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY.....	2
W BIEŻĄCYM NUMERZE.....	2
OD REDAKCJI.....	3
NA CELOWNIKU	
Harry Potter i kociołek agresji.....	5
Magia w wierzeniach i obrzędach słowiańskich.....	16
PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO	
Nowoczesna czarownica.....	25
POEZJA	
Regina Orzechowska.....	27
Martin Kobiela.....	32
MIGAWKI	
O chłopcu i jego dziewczynce	38
Mieć świadomość.....	41
MOJA KSIĄŻKA	
Anna Teodorczyk > Czerwień.....	44
Marek Pełka > Świat gorącego słońca.....	48
Aneta Rzepka > Tohańska branka.....	54
PORADNIK PISARZA	
Wprowadzamy dialog – krok po kroku.....	58
RECENZOWO	
Richelle Mead: Melancholia sukuba.....	61
Harry Potter i Insignia Śmierci cz. 2.....	63
Neil Gaiman: Gwiazdka z nieba.....	65
OPOWIADANIA	
Farmazonki.....	67
Los z potarganym włosiem.....	70
Ciepło.....	75
Kiedyś nadejdzie jutro.....	79
ZAPOWIEDŹ	
numer 3, wrzesień 2001.....	91

Witajcie!

To już drugi numer **@tramentu**, który oddajemy w Wasze ręce. Jak zapowiadaliśmy – dotyczy on szeroko pojętej fantastyki, magii i czarów. Z założenia temat ten miał być zaprezentowany z różnych perspektyw, nie tylko tej dosłownej, ale również symbolicznej. Do redakcji zaczęło spływać jednak naprawdę wiele, wiele tekstów, świadczących o tym, jak żywym zainteresowaniem cieszy się w dzisiejszych czasach ten gatunek, z jakim zamiłowaniem ludzie czytają i, co więcej, sami tworzą prozę fantasy. W związku z tym numer zdominowany jest magicznością w jej pierwotnym znaczeniu, ale oczywiście nie tylko. Mamy nadzieję, że całość przypadnie Wam do gustu.

Magia to nie tylko słowo pisane – można odnaleźć ją w różnych aspektach życia. Przygotowaliśmy dla Was jeszcze jedną niespodziankę – bieżący numer ilustrowany jest zdjęciami autorstwa MojejWyspy (DS.), ponieważ nie od dziś wiadomo, że fotografia to kolejny cud, który pozwala utrwalić chwilę, zamknąć ją w bezruchu i pozwolić do niej wracać. Niegdyś twierdzono, że aparat jest zabójcą, który odbiera fotografowanemu obiektowi część jego duszy, współcześnie w dobie aparatów cyfrowych i komórek, błysk flesza stał się czymś tak powszechnym, że mało kto zwraca już na niego uwagę. Chcieliśmy więc w jakiś sposób oddać hołd znaczącej funkcji, jaką pełnią w naszym życiu zdjęcia. Zjawiska tego dotyczy także jedno z zawartych w numerze opowiadań.

Gorąco zapraszamy w angażowanie się w nasz projekt, dołączenie w szeregi naszej redakcji. Tworzenie **@tramentu** to dla nas ogromna przyjemność, dzięki czytelnikom, których liczba stale rośnie.

Cieszymy się też pozytywnymi opiniami odnośnie pierwszego numeru. Idea stworzenia elektronicznego magazynu początkowo wzbudzała skrajne emocje, czasem wręcz ostentacyjne wyrazy zwątpienia w sens i realność tego przedsięwzięcia, na szczęście udało się nam pokazać, że wspólnymi siłami można wiele zdziałać i zbudować konstruktywną całość. Nie pozostaje nam nic innego, jak z zapalem kontynuować to dzieło.

Zapraszamy do czytania!

Redakcja

Harry Potter i kociołek agresji

Beata Szymura

***Harry Potter* promocją praktyk okultystycznych – temat nośny kilka lat temu, kiedy popularność cyklu książek o małym czarodzieju zaczęła razić niektóre środowiska. W okresie, gdy ostatnia ekranizacja książkowego hitu właśnie zagościła w kinach, dyskusja ta ponownie nabiera mocniejszego wyrazu.**

Zacznijmy od początku: pierwszy tom *Harry’ego Pottera* wchodzi do polskich księgarń w 1997 roku, a kolejne tomy ukazują się systematycznie w kolejnych latach: ostatnia część *Harry Potter i Insygnia śmierci* zostaje przetłumaczona na język polski i wydana w 2008 roku. Owa rozpiętość czasowa sprawiła, że pierwsi czytelnicy dorastali wraz z cyklem, ale mimo upływu lat gdzieś w głębi nich krył się sentyment do świata opisywanego przez J.K. Rowling, będącego odskocznią od codziennej szarości, więc wytrwale oczekiwali z napięciem na wielki finał. Pojawiają się nawet głosy fanów, że wraz z ostatnią adaptacją książki coś się skończyło, zamknął się ostatecznie etap ich dzieciństwa. To mocne słowa, ale tkwi w nich ziarno prawdy, które pojąć potrafi tylko pokolenie wyrosłe na serii.

Osobiście nigdy nie widziałam książkach o młodym czarodzieju niczego złego: historia Harry’ego była dla mnie fikcyjnym obrazem świata, w którym obok ludzi niemagicznych, takich jak każdy z nas (mugoli), równolegle żyli czarodzieje, obdarzeni magiczną mocą. Postępująca akcja, tak idealnie spajająca ze sobą wszystkie części, niosła ze sobą przyjemność czytania – to książka łatwa w odbiorze, wciągająca, czytana z zapartym tchem od deski do deski. Jeden z zarzutów wobec Rowling godził właśnie w jej przystępny styl: autorka posługuje się językiem gier komputerowych, tu sensacja goni sensację, w tekście przeważają dialogi, dla opisów mało jest miejsca¹. Szczera prawda, jednak gdzieś w tym usilnym wytykaniu autorce braków stylistycznych, zagubiła się refleksja nad tym, jaka jest dzisiejsza literatura młodzieżowa. Do młodego człowieka nie trafi się już archa-

¹ A. Bielecki: *Harry Potter i kieszonkowy potwór*. „Miłujcie się!”, nr 11-12, 2001.

icznym stylem Henryka Sienkiewicza, kolorowym światem *Ani z Zielonego Wzgórza*, *Historią żółtej ciżemki*, czy Konopnicką z jej sierotką Marysią. Dzieci, te młodsze i trochę starsze, sięgają dziś po inne pozycje, świadczy o tym ewoluujący spis lektur szkolnych, dopasowany do wymagań czytelnika, gdzie klasyka przeplatana jest lekturami podobnymi do *Harry'ego* jeśli chodzi o tempo i styl, np. seria *Dynastia Miziołków*.

Kiedy cykl o Potterze wchodził do księgarni i nastąpiła moda na serię o młodym czarodzieju, można było usłyszeć radosne głosy, że wreszcie młodzi czytają, sięgają po książki, promowane słynnym hasłem: *Jeśli sądzisz, że w dobie komputerów sztuka czytania zanikła, zwłaszcza wśród dzieci, to niezawodny znak, że jesteś mugolem*. Jednak gdy coś zaczyna być popularne, a tym samym niesie za sobą wydawniczy zysk, musi pojawić się krytyka tych, którym zjawisko owo jest nie na rękę i z jakiegoś powodu przeszkadza. Tym właśnie była walka z Harrym, której do dziś nie wygrała żadna ze stron, przekładana chyba na swoisty konflikt dobra ze złem. Nie wiadomo tylko do końca, po której stronie możemy odnaleźć wymienione absoluty.

Pierwszy artykuł, jaki przewinął się przez moje ręce, rozbudzający tę polemikę, nosił tytuł *Harry Potter i kieszonkowy potwór* i ukazał się w katolickim czasopiśmie „Miłujcie się!”. Ileż niechęci i jadu kryło się w słowach zamieszczonych na łamach nawołującego do miłości dwumiesięcznika. *Harry* został tam zestawiony z kolejnym niepokojącym zjawiskiem – modą na *Pokemony*, również dominującą w tamtym okresie. Skrytykować wszystko, co na topie, taki cel postawił sobie chyba autor, nie dbając o ścisłość faktów, które przedłożył na obronę swoich tez.

Na pierwszy ogień rzucony zostaje konflikt Harry'ego z czarnoksiężnikiem zła, Voldemortem. Konflikt, jak twierdzi autor artykułu, jedynie osobisty, prowokowany egoistycznymi pobudkami: rządzą pomśzczenia śmierci rodziców, bo przecież oczywiście zabójca rodziców naszego bohatera nie jest postacią pozytywną (podobnie zresztą jak mugole), ale trudno stwierdzić, by zagrażał on światu². I dalej: Harry Potter nie zamierza ratować nikogo poza samym sobą...³ Paradoksalność tego założenia razi od razu każdego z oddanych czytelników cyklu

² A. Bielecki: *Op. Cit.*

³ A. Bielecki: *Ibidem*.

Rowling – wszak Voldemort to potężny czarnoksiężnik, który rosnąc w siłę zagraża światu nie tylko czarodziei, ale i ludzi niemagicznych, dopuszcza się bestialskich zbrodni i nie cofnie się przed niczym, by uzyskać najwyższą władzę. Rzeczywiście – nie ma się czego obawiać. Harry, samolub i egocentryk, który jako jedyny ocalał ze starcia z czystym złem, jako małe niemowlę chronione miłością matki, oddającej za niego życie, czuje, że jego misją jest powtórne zmierzenie się z Voldemortem i uratowanie świata. W rozprawach na temat absolutnego Dobra i Zła, które podobno trudno rozgraniczyć w powieści, Małgorzata Nawrocka⁴ w kolejnym z artykułów poświęconych niebezpiecznym wpływom lektury, stawia po stronie zła lorda Voldemorta, po stronie dobra, z zastrzeżeniami, Harry’ego. Wątpliwości nastrocza fakt, że w cyklu Rowling zostaje ukazane ludzkie oblicze czarnoksiężnika – był on przecież, podobnie jak Harry, sierotą wychowującą się w mugolskim świecie, dzieckiem nieszczęśliwym i samotnym, co wpłynęło na jego późniejszą degradację. Z kolei absolutyzm dobra zostaje zakwestionowany poprzez istnienie mrocznej strony w Harrym – jest on jednakowoż niejako połączony z lordem: wydarzenia pamiętnej nocy, podczas której zginęli jego rodzice, raz na zawsze wpłynęły na więź, która zawarła się między tymi postaciami – Harry nosi w sobie część duszy Voldemorta. Uwadze nie powinien ująć też fakt, że różdżki obu panów zbudowane są z tego samego rdzenia, przez co walka pomiędzy nimi jest niemożliwa. Harry jest wręcz opętany – tego właśnie słowa używa Nawrocka – miewa bowiem wizje, w których albo widzi to, co dzieje się wokół Voldemorta, albo sam bierze udział w tych makabrycznych wydarzeniach. Gdzieś po drodze zupełnie zagubiła się wiadomość, że Harry pobiera lekcje oklumencji, by się przed tą ingerencją lorda w swój umysł bronić, a więc walczy z demonem, który chce go pojąć. Tyle przeciw – przyjrzyjmy się teraz tym wykładnikom od drugiej strony.

To nie osoba Harry’ego reprezentuje w cyklu Dobro, ponieważ nie jest on jedynym pozytywnym bohaterem. Ośmielam się stwierdzić, że przeciwwagą dla Zła, jest tutaj Miłość – ponieważ to siła tego uczucia chroni małego chłopca od śmierci, wiąże go z przyjaciółmi: Ronem i Hermioną, i kieruje jego dalszym ży-

⁴ M. Nawrocka: *Chichot na cmentarzu. Refleksja nad magicznymi powieściami z cyklu „Harry Potter” oraz antymagicznymi powieściami „Anhar” i „Alhar, syn Anhara”*. „Miłujcie się!” nr 3, 2009.

ciem. Dumbledore, niezwykle uczony dyrektor szkoły Hogwart, który kocha Harry’ego jak syna, z regularną częstotliwością podkreśla jak wielka jest siła tego uczucia i że to podstawowa różnica między Harrym a Voldemortem – obaj wychowali się w podobnych warunkach, a więc mogli pójść symetryczną drogą, jednak Harry nigdy nie byłby skłonny pójść w ślady tamtego – właśnie ta cecha młodego czarodzieja – odraza do czarnej magii, do zbrodni, nienawiści, przemawia na jego korzyść. Harry, tak jak Tom Riddle, mógł znaleźć się w Slytherinie, jednym z czterech domów, zrzeszających przeciwników mugoli, ale to jego własna decyzja, sprzeciw wobec propozycji Tiary Przydziału, uczyniła z niego zwycięzcę. To coś, czego zabrakłoby młodemu Voldemortowi w identycznej sytuacji; zdarzenie, które raz na zawsze przypieczętowało różnice w postawach tych dwóch. Nie zapominajmy też o poświęceniu Harry’ego – ten zbuntowany egoista zdobył się bowiem na męczeński gest, gdy okazało się, że sam jest jednym z horruksów (nośnikiem części duszy Voldemorta, który należy unicestwić, by czarnoksiężnik zginął) i musi umrzeć, by ocalić świat. Dostrzeganie w tej ofierze profanacji aktu oddania życia przez Jezusa na krzyżu dla wybawienia ludzkości, wydaje się sztuczne i przerysowane. Harry odznaczał się wielkim sercem, wrażliwym na straty bliskich, których przecież tak często doznawał, i wierzył, że w ten sposób może wreszcie dać kres nieszczęściom, które spotykają jego najbliższych. Namiastkę tego, jak wyglądałaby rzeczywistość, gdyby władza Voldemorta rozprzestrzeniła się, mieliśmy w *Insygniach Śmierci* – byłby to świat, w którym ginąłby każdy, sprzeciwiający się woli lorda, niezależnie od przynależności do światów czy czystości krwi – śmierciożercy mordowali i mugoli, i czarodziejów, czerpiąc z tego satysfakcję i zadowolenie.

Jeszcze, nawiązując do walki Dobra ze Złem, ponieważ ten motyw rzekomo odróżnia twórczość Rowling od pisarzy takich jak C.S. Lewis czy J.K. Tolkien, również podejmujących tematykę magiczną, ale w zgoła inny sposób. Nawrocka w swoim artykule⁵, a także na sympozjum *Magia – cała prawda*, z którym odwiedza różne zakątki Polski, a o którym szerzej później, dostrzega tę różnicę właśnie w braku obiektywnego dobra u Rowling, a także w biografiami wszystkich trzech autorów. Wynika z tego, że jeśli autor jest zdeklarowanym chrześcijaninem, jego książki jak najbardziej można czytać, jeśli nie – no cóż, lepiej trzymać się jak naj-

⁵ M. Nawrocka: *Op. Cit.*

dalej, bo kto wie, co można w nich znaleźć. Ta dyskryminacja ze względu na wiarę zakłada, że jeśli wyznanie autora nie zawsze pokrywa się z przyjętym – w jego książce bez wątpienia możemy odnaleźć tylko i wyłącznie pokłady treści satanistycznych.

Chciałam jeszcze powrócić do wzmianki dotyczącej mugoli – jakoby byli to bohaterowie źli, gorsi, napiętnowani, przed którymi czarodzieje zamykają swój niezwykły świat. Należy zauważyć, że w takich barwach nie jest przedstawione całe środowisko mugoli, a jedynie jakiś jego pierwiastek, uosobiony w rodzinie Dursleyów (podobnie w świecie magicznym, dla równowagi, istnieje podział na tych pozytywnych i negatywnych). Jednak nie należy zapominać, że wielu z uczniów Hogwartu wychowało się w rodzinach niemagicznych (czego przykładem jest np. jedna z głównych bohaterek, Hermiona, niezwykle ambitna i bystra dziewczynka, która przez autorkę nie jest traktowana z rezerwą ze względu na swoje pochodzenie, wręcz przeciwnie). Do świata magii wkraczają wybrane jednostki, z których po siedmiu latach nauki wyrastają czarodzieje, gotowi do podjęcia różnych zawodów, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Kolejny zarzut wobec *Harry'ego* mówił o tym, że w odróżnieniu od znanych nam baśni, gdzie magią zajmowały się tylko stworzenia spoza naszego świata, w *Harrym* do różdżek dochodzą ludzie, co powoduje pomieszanie światów oraz degradację magii i wszystkich pojęć, jakie dotąd występowały w baśniach klasycznych, gdyż ludzie nie powinni brać się za czary. Otóż nie – nie każdy może zostać czarodziejem, trzeba się nim urodzić, mieć w sobie szczyptę magii, którą szkoła odpowiednio wykształci w procesie edukacji, nie mamy więc do czynienia z bezwładnym tłumem, którzy nagle zaczął bawić się nierozsądnie z siłami nadprzyrodzonymi, ale z garstką wybranych, która różni się od pozostałych, a wykształcenie, które zdobywają w Hogwarcie, ma ich nie tyle co wyuczyć czarów, ale pokazać jak należy z magii korzystać, dbając również o rozsądek i umiar. Tak a propos, w *Akademii Pana Kleksa*, lekturze dosyć zbieżnej, tytułowy nauczyciel również kształci ludzi, młodych chłopców, w swojej akademii, z zakresu magii i nikt nie ma nic przeciwko – to szkolna lektura. Bycie czarodziejem w świecie Rowling to nie tylko zabawa, wymachiwanie różdżką w celu stworzenia wszystkiego, na co się ma akurat ochotę, ale ogromna odpowiedzialność za swoje czyny i osoby, na które się wpływa. W związku z tym istnieją Zaklęcia Niewybaczalne, których używanie jest su-

rowo karane, regulaminy i kodeksy, a Ministerstwo Magii czuwa nad porządkiem i szybko reaguje w razie konieczności. Świat mugoli nie chce wiedzieć o istnieniu tego drugiego, reakcja Dursleyów na każdą wzmiankę o magii dobitnie tego dowodzi, a Ministerstwo dba o ukrycie niepokojących zjawisk i w razie przedostania się szkodliwych treści – interweniuje. Nie należy też zapominać, że świat czarodziejów chroni swoich niemagicznych braci – współpraca pomiędzy ministrami: magii a świata mugoli, zasygnalizowana w książce, potwierdza tę troskę. Czarodzieje w swoim życiu podejmują też walkę z niebezpiecznymi stworzeniami, osadzają więźniów w Azkabanie i dbają o ogólnie pojęty porządek, ich udział w kreowaniu spokoju jest więc niepodważalny.

Wracając do artykułu, który zbulwersował mnie lata temu, sugerującym, że Harry walczy tylko z wrogiem osobistym, można niestety przytoczyć kolejne nieścisłości. Przede wszystkim fakt, że egoizm Harry’ego został podkreślony raz jeszcze, w błyskotliwym stwierdzeniu, że *Harry Potter, który staje się wzorem dla milionów czytelników, nigdy nie daje prezentów swoim kolegom i koleżankom (sam oczywiście je dostaje), ponieważ zbyt dużą wagę przywiązuje do pieniędzy*⁶. Szczerze mówiąc zdanie to najpierw wprawiło mnie w osłupienie, potem w zdernerwowanie, a następnie przysporzyło niepokonany atak śmiechu. Oczywiście chodziło o święta Bożego Narodzenia (bo owszem, w tej „satanistycznej” książce są obchodzone), kiedy to Harry rozpakuje prezenty od Rona i Hermiony. Szczegół, że chociaż w tym tomie ta przecież niezwykle obligatoryjna dla rozwoju fabuły informacja zostaje pominięta, w późniejszych tomach jednakże pojawia się wzmianka o tym, że Harry coś tam jednak przyjaciółom sprezentował, to fragment o przywiązaniu Harry’ego do pieniędzy brzmi już jak sfabrykowany na potrzeby własnej teorii zarzut. W książce wielokrotnie padają sformułowania, że Harry najchętniej podzieliłby się z rodziną Rona wszystkim, co ma, ale wie, że oni by tego nie przyjęli, ze względu na swoją dumę, więc pomaga jak może, uciekając się nawet do podstępów (by sprawić Ronowi nową szatę – oddaje na ten cel pieniądze jego braciom, dokłada też do ich interesu). Dla Harry’ego pieniądze nie mają znaczenia, leżą beczynnie w banku Gringotta, a on sam używa ich tylko wtedy, gdy musi zakupić pomoce szkolne. Ale moją uwagę przykuł jednak nie ten, śmieszny zgola, argument oczerniający serię. Bardziej pochłoneły mnie fan-

⁶ A. Bielecki: *Op.Cit.*

tazje autora artykułu na temat fabuły książki, które tylko wykazują, że oskarżający nawet nie zadał sobie trudu by *Harry'ego* przeczytać, co podważa raczej jego kompetencje do wypowiadania się na ten temat. Mam tu na myśli fragment dotyczący nauki w Hogwarcie: *Partnerem dyrektora szkoły czarów Albusa Dumbledore'a jest Nicolas Flamel. O ile Dumbledore jest fikcją, o tyle Flamel istniał naprawdę (...). Pod kierownictwem ich obu młodzi adepci szkoły Hogwarts poznają sekrety numerologii, wróżbiarstwa... (...) Wszyscy, którzy nie wierzą w to, czego nauczają Dumbledore i Flamel, zasługują na wyśmianie i pogardę*⁷.

O ile w treści pierwszego tomu rzeczywiście pojawia się nazwisko Flamela, jako twórcy eliksiru życia, na którym tak zależy Voldemortowi, o tyle w żadnym miejscu nie odnajdujemy noty, że Flamel naucza w szkole, ba, jest partnerem samego dyrektora. Bardzo interesuje mnie też cytat, który mógłby potwierdzić końcowy wniosek – zaakcentowanie, że czary są obowiązującym sposobem na życie, a mugole powinni zostać wybici, ponieważ ich rola jest zbędna (oczywiście, pomijając teorie Voldemorta, który właśnie z takich przekonań wyrasta, ale równocześnie jest czarnym charakterem, z którym czarodzieje toczą walkę). Bo zauważmy: środowisko czarodziei sprzeciwia się misji Voldemorta, niezaprzeczalnie dowodząc, że dobro mugoli leży w ich interesie i wcale nie uważają niemagicznych za niegodnych życia. Ponadto: młody Riddle właśnie w takich warunkach dorastał w sierocińcu, z daleka od magii, a nienawiść skierowana wobec niemagicznych wiąże się w jego przypadku ze smutnym dzieciństwem i poczuciem bycia gorszym.

Symposium *Magia – cała prawda*, którego byłam uczestniczką pół roku temu, przykuło moją uwagę ciekawą rozpiską poruszanych tematów, wśród których brylował „*Harry Potter*” i „*Zmierzch*” pod światło. Wybrałam się z ciekawością i obawą – z jednej strony pouczające prelekcje, z drugiej kolejne wyrzuty pod adresem miło wspominatej książki. Małgorzata Nawrocka, inicjatorka spotkania, głównie przekonywała, że jeśli Harry nie spustoszy psychiki dziecka od razu, na pewno dokona się to w przeciągu kilkunastu lat. Minęło już dziesięć, odkąd zaczęłam zaczytywać się w przygodach Pottera i nadal nie dostrzegam w sobie ciągotek okultystycznych – ale może coś ze mną nie tak. Wręcz przeciwnie: w czasach, gdy młódzież z utęsknieniem wyczekuje na kolejną krwawą *Pilę*, której

⁷ A. Bielecki: *Op. Cit.*

treść powinno się raczej wziąć pod lupę, stąpać twardo po ziemi i mam swoją niezachwianą wiarę, bo – co mogłoby wielce zdziwić krytyków *Harry’ego* – tak, jestem praktykującą katoliczką, której nie zlasował się mózg od wywijania różdżką.

Podczas wykładów zaprezentowano różne oblicza zagrożeń czyhających na człowieka, a na potwierdzenie poznaliśmy świadectwa ludzi, którzy na własnej skórze przekonali się, jak łatwo pogrążyć się w złu. Ingerencja sił piekielnych może przybierać zdumiewające rozmiary i wykraczać poza racjonalność. Tak zastraszeni, niemieszczącymi się wręcz w głowach newsami, zaniepokojeni słuchacze, w tym liczni rodzice, w finale dowiedzieli się, że sami podają dzieciom zło – w postaci na pozór niewinnych książek. Zestawienie wcześniejszych treści z wykazaniem szatańskich praktyk w *Harrym* skutecznie podziałało na promocję książek inicjatorce sympozjum. *Anhar* i *Alhar*, dwa tomy powieści antymagicznej, polemizują ze światem zastanym u Rowling i dzięki temu sprzedawały się na pobliskich stoiskach jak świeże bułeczki. Podpieranie się Potterem, zawsze wpływało korzystnie na zbyt, dlatego akcja przeciwna również musiała przynieść oczekiwane efekty. W dobie licznych zagrożeń, taka właśnie lektura może uratować nasze pociechy – sugeruje autorka. Cóż innego może więc zrobić dręczony wyrzutami sumienia rodzic, jak nie sięgnąć po podsunętą mu pod nos lekturę?

Nie miałam jeszcze przyjemności czytać *Anharego* (Anty-Harry’ego), ale ewidentnie musi być to powieść dobra, wydana wszak przez Edycję Świętego Pawła, autorstwa pisarki wyczulonej na wszelkie zagrożenia. Pozwala spojrzeć na świat magii od drugiej strony i wskazuje cenne wartości – według zapewnień autorki. Jedyne, co zakłóca ten obraz, to wzrastanie na nagonce, dezorientacja wywołana u młodego czytelnika, któremu zabiera się to, do czego był przyzwyczajony, dając coś innego i twierdząc, że dotąd kroczył mroczną ścieżką.

Nawrocka w około półgodzinnej pogadance na temat Pottera oświadczyła, że zwykle rozprawienie się z *Harrym* zajmuje jej cztery godziny, ale ograniczony czas pozwala na przedłożenie tylko najważniejszych faktów. Ponieważ żadna z jej tez do mnie nie trafia, wciąż jestem ciekawa pozostałej części. Zastanowienie budzi też fakt, że w dobie tak licznych zasobów fantastyki, przy których *Harry Potter* wypada blade, wciąż jest to powieść traktowana niewspółmiernie do swoich treści.

W książce mało jest piękna, natomiast przeważa zło: w opisach, w scenach, w kreacji postaci. Czy taka dawka okrucieństwa odpowiednia jest dla młodego człowieka, sięgającego po kolejny tom? To jedno z kolejnych pytań, stawianych na sympozjum. A tomów mamy siedem – jak większość czytelników dorastałam wraz z nimi, zaczynało się niewinnie i słodko, byłam wtedy jeszcze dzieckiem, później akcja nabrała tempa, a obrazy wyrazu. Trzeba zauważyć, że dzisiejsza młodzież z każdej strony bombardowana jest krwawymi scenami: w telewizji, kinie, Internecie, grach komputerowych i choć to naganne – nie da się tego powstrzymać. Myślę, że wobec tego ciemność w *Harrym* jest uzasadniona, bo to domena naszych czasów, i nikt nie uwierzyłby w bohatera, który zbiera kwiatki na łące, zamiast stawiać czoło złym siłom. Przypomina mi się w tym miejscu jeszcze jedno z oskarżeń: satanistyczny rytuał, pewnie nie przez przypadek w polskim wydaniu umieszczony na znaczącej stronie 666. Oczywiście, jak mniemam, autorka sama zadbała o ten szczegół, dokonując samodzielnie przekładu na język polski. Ponadto, dzisiejsze kino fundujące nam obrazy ludzi skrupulatnie odcinających sobie nawzajem kończyny, stosujących przemyślnie i wyrafinowane tortury, najczęściej bez powodu, dla zachcianki – to obraz zła, z którym należy walczyć, zamiast mitrzyć siły na walkę z nieszkodliwą bajką.

Potter zostaje zestawiony przez Nawrocką z baśniami klasycznymi (pada tu nazwisko Andersena czy braci Grimm), które rzekomo odarł z magii. Niewinność i czystość baśni tych drugich podlega jednak wątpliwej ocenie: dominują w nich opisy rozczłonkowanych ludzkich ciał, brutalność i krew. A przecież odbiorcami są tu dużo młodszy czytelnicy, całość wydawana jest wszak pod przykrywką barwnie ilustrowanych książek dla dzieci. Również bajka o Kopciuszku, przez Nawrocką wskazana za jedną z najpiękniejszych baśni, będących przykładem najważniejszych w życiu treści i wartości, w klasycznym grimmowskim wydaniu ma drugie oblicze: zazdrosne siostry Kopciuszka odcinają sobie kolejno duży palec u stóp i piętę, by włożyć na stopę za mały pantofelek. To jedynie disneyowka, złagodzona wersja, przedstawia nam zdolny do odbioru obraz losów biednej dziewczyny.

A co zrobić z *Alicją w Krainie Czarów* Lewisa Carolla? Czy przejawy magii i makabra, ukryte na kartach tej głośnej książki, napisanej – notabene – przez pedofila, nie są równie wdzięcznym obiektem do krytyki? Jeżeli tak bezpośrednio

podany sadyzm i podejrzane praktyki, obecne od wieków w literaturze, nie stanowią problemu, dlaczego uwagę skupia, niewinny w tym zestawieniu, *Harry Potter*?

Czym jest więc w moim przekonaniu *Harry Potter* i co skłoniło mnie do obrony jego treści? Przede wszystkim to magiczna opowieść o chłopcu, który pomimo ciężkiego dzieciństwa i utraty najbliższych osób, wyrasta na mądrego, dzielnego i uczuciowego mężczyznę. Seria pokazuje triumf miłości nad wszelkim złem, jej siłę i różne odcienie: miłość pomiędzy przyjaciółmi, rodzicami i ich dziećmi, dyrektorem a jego podopiecznym, między rasami (sowa Hedwiga, domowy skrzat Zgredek, hipogryf itd.), kobietą a mężczyzną, żyjącym a umarłymi. Młodzi dorastają w trudnych czasach, nęceni pokusami i złem czającym się wokół, a mimo to potrafią się odnaleźć, podążać właściwą ścieżką, zjednoczyć w walce o dobro. Książka pokazuje, jak cienka jest granica pomiędzy dobrem i złem, jak łatwo ją przekroczyć i jak ciężko się potem wydostać z sidła mroku, aby ostrzec i uwrażliwić na tę kwestię czytelnika. Mamy tu do czynienia także ze szczęśliwym zakończeniem: zło zostaje unicestwione, rzeczywistość wraca do normy, a ludzie mogą znów żyć w zgodzie i w spokoju.

Czy jeżeli odbiór jakiejś lektury, samodzielna interpretacja, wywoła u czytelnika czyn zasługujący na potępienie, oznacza to zaraz, że wina leży w książce, nie w człowieku, otoczeniu, środowisku? Jeśli dziecko po przeczytaniu *Ani z Zielonego Wzgórza* dojdzie do wniosku, że jest beznadziejne, bo nie posiada tak bujnej wyobraźni jak Ania i w konsekwencji pograży się w depresji, albo – co gorsza – popełni samobójstwo, to czy usuniemy Montgomery (żonę pastora) z kanonu, bo niesie w swoich książkach przytłaczające młodych treści?

Jeżeli autor bierze na warsztat np. czasy średniowieczne, chcąc stworzyć powieść historyczną, to czy nie powinien najpierw wnikliwie zgłębić historii, by wiedzieć jak i o czym pisać? Identycznie Rowling, poświęcając swoją książkę magii, musiała wejść w ten świat, pokazując jego dobre i złe strony. Okultystycznych symboli nie dopatry się tam niewinne dziecko, dla którego jest to tematyka obca i odległa, ale dziwi fakt, że znajomość podstaw tej doktryny przez autorkę wytykają jej osoby, które same w świecie satanistycznych metafor poruszają się z niezwykłą swobodą. Problemem zatem jest tu nie książka, ale człowiek. To on zaognia sytuację, szukając niepotrzebnie zła tam, gdzie inni go nie widzą.

Może więc podstawowym pytaniem, które powinno w jakiś sposób zakończyć ten konflikt, jest nie to, co można, ale co **CHCEMY** z *Harry'ego* wyczytać. Czytelnik, który szuka rozrywki, dobrej zabawy i przygody z zapalem przebrnie przez kolejne stronnice, ulegając czarowi książki, ale po przeczytaniu wróci do świata realnego, by zabrać się za następną lekturę. Natomiast ci, którzy we wszystkim co popularne i na czasie doszukują się przejawów opętania i zła, odnajdą je wszędzie, wnikliwie rozszczepiając każde zdanie na mikroskopijne elementy i przydając im pomyślne dla siebie sensy.

Zwieńczeniem niniejszego wywodu niech będzie jedna z finalnych scen filmu, który od niedawna gości w naszych kinach – co robi Harry z Czarną Różdżką, symbolem najwyższej władzy i zła, kiedy okazuje się, że został jej prawowitym właścicielem...?

Magia w wierzeniach i obrzędach słowiańskich

Małgorzata Krawczyk

Słowianie, czyli krótko o tym skąd i od kogo pochodzimy

Słowiańszczyzna, podobnie jak tereny germańskie czy romańskie, nie stanowi obecnie jednolitej całości kulturowej. Poszczególne narody posiadają własny, specyficzny dorobek i przeszłość historyczną. Jednakże wszystkie kraje uważane za słowiańskie łączy wspólne pochodzenie oraz pokrewieństwo językowe. Tereny zamieszkałe przez Prasłowian to obszar leżący pomiędzy Karpatami, Niemnem, Dnieprem i Wisłą. Ekspansja Słowian na sąsiednie ziemie sprzyjała wewnętrznemu różnicowaniu się naszych przodków pod względem kulturalnym i językowym⁸.

Słowian dzieli się na trzy zasadnicze grupy: zachodnich, wschodnich i południowych. Za Słowian Zachodnich uważa się Polaków, Czechów, Słowian i Łużyczan. Wschodni Słowianie to Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie, natomiast Południowi to Słowacy, Serbowie, Chorwaci, Bośniacy, Czarnogórcy, Macedończycy i Bułgarzy⁹.

Słowiańska wiara

Niestety wiara naszych przodków to najslabiej zachowany pogański system wierzeń, występujący na terenie Europy. Zresztą podobnie jest z całą przedchrześcijańską słowiańską kulturą¹⁰. W znacznej mierze za taki stan rzeczy obwinia się

⁸ L. Wasilewski, *Słowianie Ich rozsiedlenie i liczba*, Kraków, 1913, str. 5; Podkreślić jednak należy, że na tym polu pojawił się spór, który nie został rozwiązany do dzisiaj. Część badaczy uważa, iż Słowianie zamieszkiwali pierwotnie tereny Europy Środkowej, przede wszystkim między Odrą i Bugiem (koncepcja autochtoniczna), część natomiast, iż rozpoczęli ekspansję z terenów leżących bardziej na wschód (koncepcja allochtoniczna).

⁹ Ibidem.

¹⁰ Najnowsze badania wykazują, iż Słowianie byli ludem o wiele potężniejszym, niż

Kościół, który próbował wypłenić dawną wiarę z terenów słowiańskich. P. Jasienica jeszcze w XX w. pisze na ten temat tak: *Najważniejsza rzecz to zdobyć i rozpowszechnić konkretne wiadomości. Jest już ich tyle, że najwyższy czas zerwać z nawykami. Trzeba raz na zawsze przekroczyć magiczną granicę zapisanych dat i na dobre uwzględnić w rachunku okres wcześniejszy. Zdaję sobie sprawę, że wchodzę na śliskie tereny. Każdy wyraz zainteresowania Polską przedchrześcijańską, podobnie jak bezstronne spojrzenie na fakt chrztu, mogą być łatwo uznane za niecną zamach na duszę narodu*¹¹.

Ludy słowiańskie zostały schryścianizowane w okresie od VI w. do XIII w., jednak początkowo chrześcijaństwo było religią jedynie klas wyższych. System wierzeń ludowych trwał nadal w niższych warstwach społecznych. Sławny do dzisiaj pozostaje bunt pogański z 1039 r., kiedy to ludzie „pozabijali biskupów i kapłanów, i bojarów swoich”¹².

System wierzeń słowiańskich jest systemem politeistycznym. A. Szyjewski uważał, iż w wierzeniach pogańskich występuje ontoteologia, czyli jedność ontologii (metafizyki) i teologii¹³. Najprościej mówiąc, wszystko to, co nadprzyrodzone, boskie, przejawia się w naszym codziennym życiu. Religia Słowian to przede wszystkim ich mitologia. Problem w tym, że nie istnieje, i najprawdopodobniej nigdy nie istniał, zbiór mitów słowiańskich¹⁴.

System wierzeń słowiańskich wiąże się ściśle z siłami przyrody. Nie sposób w tak krótkim artykule przytoczyć chociażby najważniejszych podań naszych przodków. Jednak warto opisać jeden z nich: mit o stworzeniu świata.

się powszechnie uważa. Przykładowo niedawno prowadzone badania archeologiczne na terenie Danii wykazały, iż znaczna część żołnierzy z armii sławnego Sinozębego to najemni Słowianie pochodzący przeważnie z terenów dzisiejszej Polski. Obala to mit, jakoby Słowianie walczący z Wikingami, byli niewolnikami. – „Wikingowie Sinozębego byli polskimi najemnymi żołnierzami”, w: „Jullands – Posten” z dnia 27.06.2011 r., za IAR M. Haykowski, stooq.com/n/?f=478989

¹¹ P. Jasienica, *Myśli o dawnej Polsce*, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2009, str.12.

¹² Za Jasenicą, który cytuje ruskiego kronikarza, w: P. Jacienica, *op. cit.*, str. 51.

¹³ A. Szyjewski, *Religia Słowian*, WAM, Kraków 2003, s. 23.

¹⁴ J. Strzelczyk, *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Poznań 1998, s. 8-9.

Słowianie wyobrażali sobie świat jako ogromny dąb, drzewo kosmiczne¹⁵. Uważa się, iż nasi przodkowie dzielili świat na niebo, mieszczące się w koronie drzewa, ziemię i krainę umarłych – Nawie, którą rządził Weles. Naukowcy, którzy pracują nad odtworzeniem wierzeń słowiańskich tak zazwyczaj opisują wyobrażenie naszych przodków o stworzeniu świata: na początku istniało jedynie morze, nad którym unosił się bóg w łodzi, do którego z głębi przybył diabeł. Inni twierdzą, że nad morzem unosił się w postaci łabędzia Światowit, bóg obdarzony mocą stwórczą. Światowit czuł się samotny, więc stworzył Swaroga (lub Peruna) i Welesa. Weles żył w morzu. Swarog zamieszkał na łodzi. Pewnego dnia Swarog wraz z Welesem postanowili wypiętrzyć ląd. Weles zanurkował na samo dno morza i przyniósł na powierzchnię garść piasku. Parę ziarenek schował w buzi, gdyż z natury samolubny, postanowił stworzyć skrawek ziemi wyłącznie dla siebie. Swarog wziął od niego piasek i rozrzucał na morzu. Tam gdzie spadły ziarenka, powstał suchy ląd. Ziarenka piasku pęczniały przy tym procesie, więc Weles zmuszony był wypłuć te, które trzymał w ustach. Tam gdzie splunął, wyrosły góry. Weles tak naprzykrzał się Swarogowi, że nigdy pomiędzy nimi nie było zgody. W końcu rozwścieczony Światowit zepchnął Welesa do Nawii, gdzie do dzisiaj jest panem¹⁶.

Słowianie nie posiadali świątyń. Dzięki wykopaliskom archeologicznym wiadomo, że cześć bóstwom oddawano na okrągłych, glinianych ołtarzach, zdobionych po bokach żłobieniami. Na ołtarzach tych płonął ogień. Na Śląsku odkryto pagórkowate tereny otoczone kamiennymi kręgami. Uważa się, że były to miejsca sakralne. Znane są również, tzw. jamy kultowe. Na dnie tych jam, dochodzących do głębokości 5 m, odkryto groby całopalne i kości ludzkie i zwierzęce. Wszystko wskazuje na to, że ludzie przed śmiercią byli skrępowani. Na ziemiach słowiańskich występują również kamienie, ozdobione świętymi rytami¹⁷.

¹⁵ Niektórzy twierdzą, że świat wyobrażano sobie jako wielką górę lub też drogę mleczną. – zob. L. P. Słupecki, *Wawel jako święta góra a słowiańskie mity o zajęciu kraju*, „Przegląd religioznawczy”, 1993, nr 2, s. 14, M. Gładyszowa, *Ludowa wiedza o gwiazdach*, Wrocław 1956.

¹⁶ Na podstawie M. Eliade, *Historia wierzeń i idei religijnych*, t. III, Warszawa 1995, s. 11 przytoczonym za pl.wikipedia.org/wiki/Religia_S%C5%82owian;slowianie.republika.pl/glowna.htm;

¹⁷ J. Dąbrowski, *Polska przed trzema tysiącami lat*, TRIO, Warszawa 2009, str. 223-2

Najważniejsi bogowie słowiańscy¹⁸

Żeby zrozumieć specyfikę bóstw słowiańskich i przejść do ich charakterystyki, warto przytoczyć krótki cytat z Bruknera: *Na wszelkie dotychczasowe zarysy wierzeń pierwotnych wpływało najgorzej, że co gdzieś u jakichś Słowian znachodowano, niezwłocznie na wszystkich przenoszono. I tak upatrywano np. w Świętowicie albo w Piorunie bóstwa ogólno-słowiańskie (...) W istocie Słowianie pierwotni ani jednego ani drugiego bóstwa nie znali nigdy; Świętowita czczono jedynie na Ruji, nie znano go poza nią, ani na Pomorzu nawet, a cóż dopiero w dalszych dzielnicach. (...) wszelkie odgraniczenia Świętowita, Trzygłowa, Swaroga, Dadz-boga itd. nie mają więc najmniejszej podstawy faktycznej: wszystko to może jedno i to samo bóstwo*¹⁹.

Rod – początkowo najprawdopodobniej najpotężniejsze bóstwo słowiańskie. Opiekun społeczności plemiennej, wiązany z płodnością. Z Rodem łączono Rodzanice, istoty odpowiadające za ludzki los.

Perun – naczelne bóstwo słowiańskie, gromowładca, pan grzmotów i piorunów. Jego kult rozpowszechniony był na Rusi. Uważa się jednak, iż kult ten mógł występować na całej słowiańszczyźnie, choć niekiedy bóstwo to było inaczej nazywane, np. Świętowit, Jarowit, Jaryło. Drzewem poświęconym Perunowi był dąb. Na posagu, który odkryto w Zbruczu, przedstawiony został z toporem i mieczem.

Swarog (Swaróg) – bóstwo słońca, nieba, ognia i kowalstwa. Synem Swaroga był Swarozyc. Istnieje teoria, iż Słowianie wyobrażali sobie Swaroga jako płomienno sokoła. Niekiedy uważano, że jest on stwórcą słońca lub samym słoń-

¹⁸Opracowano na podstawie: Gieysztor A., *Mitologia Słowian*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2006; Strzelczyk J., *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2007, Wikipedii, portalu www.slowianskawiara.hekko.pl; slowianie.republika.pl/glowna.htm; A. Brukner, L. Liederle, K. Kadlec, *Początki kultury słowiańskiej*, Nakładem Akademii Umiejętności, Warszawa, Lublin, Łódź, 1912, Kempński A., *Encyklopedia mitologii ludów indoeuropejskich*, Iskry 2001

¹⁹ A. Brukner, L. Liederle, K. Kadlec, *op. cit.*, str. 153-154.

cem i ojcem pozostałych bogów. To na jego cześć wschód słońca witano modlitwą i obnażeniem głowy.

Weles – bóg magii, zaświatów, zjawisk nadprzyrodzonych, przysięgi, sztuki, rzemiosła, bogactw, kupców, opiekun bydła. Po przyjęciu chrześcijaństwa utożsamiano Welesa z diabełem. Welesa zasiadał na złotym tronie w samym centrum nawijskich bagien. Wierzono, że przybierał postać czarnego, kudłatego kozła.

Mokosz – bogini płodności, deszczu, pogody, opiekunka kobiet, matka ziemia. Zapewniała urodzaj. Wyobrażano ją sobie jako piękną, kuszącą kobietę. Dniem jej poświęconym był piątek. Uważa się, że jej kult został zastąpiony kultem maryjnym.

Demonologia²⁰

Słowianie uważali siły przyrody za nadprzyrodzone. Demony słowiańskie można podzielić na cztery podstawowe grupy: wodne, leśne, powietrzne i domowe²¹.

Mamuna (dziwożona) – duch kobiety, która zmarła w poługu lub w stanie błogosławionym. Przybierała postać starej, brzydkiej kobiety o wielkich pierśsiach. Porywała nowonarodzone dzieci lub je podmieniała. Podmienione dziecko charakteryzowała jedna lub kilka z następujących cech: kalectwo, nadmierne owłosienie, pazury, łakomstwo, ciągły płacz, niespotykaną złośliwością. Dzieciom zawiązywano na ręce czerwoną wstążeczkę, by ustrzec je przed mamuną. Wierzono również, że nie należy wystawiać ich na światło księżyca.

Południca – uważano, że południcami stawały się kobiety, które straciły życie w dniu swego wesela. Wyobrażano je sobie jako delikatne, wysokie, blade młode kobiety, odziane w białe, zwiewne suknie, niekiedy dzierżące w dłoni kosę lub sierp. Demon ten mógł przybierać postać mgły, snuł się po polach i łąkach, często krył się w wysokich trawach. Wierzono, że południce pojawiały się w samo połu-

²⁰Opracowano na podstawie

www.slowianskawiara.hekko.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=225&Itemid=38
slowianie.republika.pl/glowna.htm

²¹ Podział wg A. Geysztora, A. Geysztor, *op. cit.*, str. 215-240.

dnie na polach i mordowały pracujących tam ludzi. Czasami były bardziej łaskawe zsyłając jedynie upały, bóle głowy, krzyża i inne choroby. Często zaskakiwały człowieka i zadawały mu zagadki do rozwiązania. Ten, kto się z nimi nie uporał, ponosił śmierć. Południce można było spotkać również tańczące w śmiertelnych kręgach. Jeżeli ktoś wpadł w ten krąg, nie wychodził z niego żywy. By ochronić się przed południcami wystarczyło odpoczywać w samo południe w zacienionym miejscu.

Rusalki – zrodzone z dusz niewydanych za mąż panien. Przybierały postać pięknych dziewcząt. Gdy księżyc był w nowiu, wychodziły w nocy z jezior i tańczyły nago na polanie. Mamiły w ten sposób młodzieńców, z którymi tańczyły tak długo, aż zmarli z przemęczenia.

Topielice – dusze kobiet, które się utopiły. Nieważne, czy popełniły samobójstwo, zostały zabite, czy też ich śmierć była przypadkowa. Porywały w głębiny tych, którzy ośmielili się zapaść nad wodę.

Kłobuk – opiekuńczy demon domowy. Wierzono, że kłobukami były dusze dzieci, które powróciły na ziemię. Przeważnie pojawiał się pod postacią zmokłej kury, wrony lub kota. Jeśli pojawił się już w domostwie, należało go przyciągnąć i nakarmić, by uzyskać jego ochronę. W wierzeniach rosyjskich występował pod postacią domownika, którego wyobrażano sobie jako niskiego starca lub węża, szczura. Gdy domownik nie został przyjęty do domu, mścił się tłukąc zastawę.

Kikimora – żona domownika. Złośliwa, mała kobieta, która nocą naprzykrzała się ludziom, np. budziła dzieci.

Latawce – dusze dzieci, które zmarły przed przyjęciem chrztu. Pojawiały się na ziemi pod postacią czarnych ptaków. Wywoływały wiatr. Znikały trafione przez piorun. Niekiedy wyobrażano je sobie zarówno jako demony męskie i żeńskie. Uwodziły mężów i żony.

Ogniki – dusze okrutnych za życia ludzi. Nocą pojawiały się na moczarach. Przybierały postać niebieskich lub zielonych światełek i zwodziły wędrowców na manowce.



Planetnik – wywoływał burzę. Uważano, że planetnikiem może zostać dusza wisielca, topielca lub nagle zmarłego człowieka. Pojawiał się jako wysoki starzec w spiczastym kapeluszu. By uzyskać przychylność tego demona, rzucono na wiatr garść mąki.

Wodnik – opiekował się akwenami wodnymi. Niekiedy wychodził w dzień na łąd, by wygrzewać się w słońcu lub bawić się z ludźmi. Pozostawiał za sobą mokre ślady. Słowianie wyobrażali go sobie jako niewysokiego starca z długimi włosami i zielonymi oczami. Porywał w głębiny ludzi, gdzie czekała ich śmierć.

Leszy – pan lasu, którym się opiekował. Pomagał ludziom, którzy żywili szacunek do natury. Karał tych, którzy niszczyli przyrodę.

Rytuały i obrzędy

Jednym z najważniejszych obrzędów wśród Słowian jest rytuał pogrzebowy. Kult przodków jest typowym zjawiskiem dla każdej społeczności pierwotnej. Zmarłych chowano na cmentarzyskach. Nie odkryto jednak żadnej reguły usytuowania cmentarzysk. Ciała przeważnie palono. Wierzono, że ogień jest pośrednikiem pomiędzy duszą a niebem. Spopielone szczątki składano do grobu w pojemnikach, przeważnie ceramicznych. Na ziemiach łużyckich występowały również groby szkieletowe oraz takie, w których spopielone kości układano w drewnianej trumnie. Ludzi po śmierci wyposażano w ceramikę i ozdoby. Często nad grobem usypywano kurhany lub przykrywano go kamieniami²². Począwszy od neolitu zawartość kurhanów, w tym symbolika na ceramice interpretowana jest w powiązaniu z kompleksem szamańskim²³.

Wierzono, że ogień ma charakter oczyszczający. Na cześć zmarłego urządzano tańce i zabawy, wystawiano suty poczęstunek. Wszystko po to, by zmarły nie powrócił na ziemię²⁴.

²² J. Dąbrowski, *op. cit.*, str. 215-219.

²³ www.RODZIMOWIERCA.prv.pl

²⁴ pl.wikipedia.org/wiki/Obrz%C4%99dy_pogrzebowe_S%C5%82owian

Szamanizm²⁵

Słowiańscy szamanie to przede wszystkim żercy, wołchwacy oraz kudniestnicy. Rosyjskie słowo *kud* oznacza „czarownik”, staroruskie *kudies* „czarowanie”. Kudiestnik postrzegany był negatywnie, wołchw, wołszebnik otoczony był natomiast powszechnym szacunkiem. *Wołch* w języku rosyjskim oznacza nie tylko czarowanie, lecz również przeciągłe mruczenie lub wycie. Szyjewski stawia hipotezę, iż ta grupa powiązana była z kultem Welesa. Na Rusi Wołchwowie jeszcze do XI w. przewodzili powstaniom ludowym, wywoływali cuda, przeciwdziałali nieurodzajom. Prawdopodobnie nie pełnili żadnych funkcji sakralnych. Wprowadzali się w stan ekstazy poprzez taniec. W ekstazie tej nabywali zdolność wieszczenia oraz uzdrawiania.

Podania o kudiestnikach i wołchwach występują jedynie na wschodniej słowiańszczyźnie. Na jej zachodnich kresach występowali żercy – kapłani, których charakteryzowała znajomość modłów, ich recytacji oraz umiejętność składania ofiar.

Szyjewski zwraca uwagę na duchy przybierające postać zoomorficzną, tj. zmiej, raszaki, atwory, które mogą stanowić odpowiednik szamańskich duchów opiekuńczych.

Ważnym elementem szamanizmu jest obcowanie z duszami zmarłych. Zatem kapłani byli potrzebni nie tylko w czasie wszystkich obrzędów odprowadzanych przed i w czasie pogrzebu, lecz również w czasie licznych świąt, przykładowo w czasie dziadów.

Praktyki pogańskie zostały przedstawione w *Traktacie Dzierzgońskim*, który zawiera opis praktyk pogrzebowych na terenie Prus, dokonywanych przez Tuliszy (tłumaczący znaki) i Ligaszy (leczący choroby). Owi ludzie odprowadzali w transie dusze zmarłego, jadącą na koniu w orszaku bogini Sauli – pruskie bóstwo słońca. Opowieść ta było bardzo dziwaczna dla Krzyżaków.

Słowianie często używali świętych znaków, którym przypisywano wielką moc. Oto najważniejsze z nich:

²⁵ www.RODZIMOWIERCA.prv.pl; www.slowianskawiara.hekko.pl

Swarzyca (dzisiaj znana jako swastyka) – symbol solarny. Do dzisiaj zachowała się swarzyca wmurowana w ścianę kolegiaty w Kruszwicy. Przypuszczalnie pochodzi ona z świątyni Swarożyca w Swarzędzu.

Ręce Boga lub Krzyż Słowiański – krzyż o równych ramionach, zakończonych poprzecznym odcinkiem, z którego odchodzi kolejne pięć lub sześć krótszych ramion. Najprawdopodobniej symbolizował Boga Najwyższego.

Krzyż Równoramienny – symbolizował równowagę wszechświata.

Krzyż Słoneczny lub Słoneczny Krąg – okrąg, w który wpisany jest równoramienny krzyż – dwu-, cztero-, sześciu- lub ośmioramienny. Symbol ten widnieje na posągu Światowida Zbruczyńskiego oraz na megalitach.

Trystyka – trójramienny symbol solarny. Każde ramie zawinięte jest spiralnie w tym samym kierunku.

Podsumowanie

Można powiedzieć, że pradawni Słowianie to jeden z najbardziej tajemniczych ludów Europy. Jest tak nie tylko dlatego, że część dorobku naszych przodków została bezpowrotnie zniszczona. Najnowsze badania rzucają nowe światło na ich dokonania. Głównym powodem takiego stanu rzeczy jest brak upowszechniania wiedzy na temat Prasłowian w społeczeństwie oraz niski poziom wiedzy przeciętnego obywatela o przedchrześcijańskiej historii naszego kraju. A przecież większość naszych tradycji i świąt wywodzi się z tradycji słowiańskiej, np. śmigus-dyngus, zwyczaj malowania jajek na Wielkanoc, topienie marzanny. Daty takich świąt, jak święto Wielkiej Nocy czy Boże Narodzenie, zostały wyznaczone w taki sposób, by zastąpić święta pogańskie.

W tak krótkim artykule nie sposób opisać wszystkich tych zjawisk. Mam jednak nadzieję, że udało mi się przybliżyć Państwu skrawek jakże ciekawej kultury naszych przodków, kultury niezwykle zróżnicowanej, barwnej i pasjonującej.

Nowoczesna czarownica

Fraszka *Nowoczesna czarownica* powstała, można powiedzieć, przez przypadek, w trakcie wymiany komentarzy kilku zaprzyjaźnionych kobiet, dopisujących dla rozrywki kolejne strofy do początkowych wersów utworu. Z ich zabawy powstał niecodzienny, żartobliwy wierszyk, który z przyjemnością prezentujemy czytelnikom. To współczesne spojrzenie na tradycyjną czarownicę, doprowadzające do wielu śmiesznych porównań.

Autorki fraszki:

MojaWyspa (DS.)

Chmurka

Andante.Kaprys

Nowoczesna czarownica

zioła warzy w mikrofali
zamiast w starym kotle,
leci w świat –
na odkurzaczu,
nie na kusej miotle...

kombinezon lateksowy
zamiast starej kiecy
i laserów błysk na stole
zamiast z wosku świecy

do fryzjera chodzi
i paznokcia studio
codziennie makijaż
że rozpoznać trudno

czary i zaklęcia
przez komórkę ciska
ma w laptopie neta
strzeżcie się ludziska

...lecz serce ma dobre:
zły urok zdejmuje
a rana się goi,
gdy ją pocałuje...

Regina Orzechowska



Sylwetka: Urodzona w Międzyzdrojach. Mężatka, ma dwoje dzieci. Pracuje jako bibliotekarka w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Świnoujściu. Ulubione hobby to gra na gitarze i komponowanie muzyki do własnych tekstów.

Od 1990 roku należy do Klubu Literackiego *Na Wyspie*. Jej wiersze drukowane były w *Świnoujściu Dzisiaj*, a także w almanachach Klubu: *Jarmark pod Trójzębem*, *Wewnętrzne morze*, *W ciepłym piasku poezji*, *Pod wydymami znaczeń* oraz w zeszycie literackim klubu *Bursztynowe uczucia*.

Jej wiersz – *Ty zamknąłeś...* znajduje się w antologii „*Z wiarą wiar*” – *Rodacy wobec śmierci Jana Pawła II*. Tomik ten został wydany przez Instytut Jana Pawła II w Warszawie.

Regina prowadzi blogi poetyckie. Swoje utwory zamieszcza na portalach poetyckich.

Kraina zieloności

Zabierz mnie do krainy wiecznej zieloności
Tam zatańczę w rytm miłości naszej
U podnóża klifów posłucham pieśni przodków

Zanurz mnie w morzu
Posłucham jego szumu topiąc łzy
Zmyj kurz cywilizacji
Zaprowadź mnie do zamku
gdzie szmaragdowa harfa
zagra melodię rozstania
Dorzuć drzew do kominka
Niech nas ogrzeje płomień przywiązania
Pożegnaj mnie spojrzeniem
co przyciągnie moją duszę
do krainy wiatrów

Zaprowadź mnie gdzie spokój
Tam oaza jest miłości mej
I zanurz mnie w trawie
Jej szeptem chcę zagłuszyć czarne sny
Zaprowadź mnie do domu
Tułaczki naszej niech nadejdzie kres
Przywitaj mnie spojrzeniem
co przyciągnie moją duszę
do krainy wiatrów

Stara szafa

stara szafa
posiada zapach z dzieciństwa
wyrzeźbione
na jej drzwiach kwiaty
są odbiciem
wiecznie zielonej łąki
po której
można biegać boso
gdy otwiera się jej drzwi
czuć zapach
beztroskiej zabawy
mieszkające
w niej kołatki
są jak elfy z baśni
boję się utraty wspomnień
po jej zupełnej renowacji

Niecka czasu

widzę gwiazdy
gdy wnikaś we mnie
czuję cały wszechświat
aż po czubki palców
jesteś moim nieboskłonem
gwiezdny pyłem
ścielisz mi morze pragnień
wodzisz palcem
po pagórku namiętności
a ja wiję się niczym
strumyk
opadający
w niecce czasu

Musze

idziesz brzegiem morza
zbierasz dla mnie musze
każda z nich
różni się kształtem
największą
dasz mi na powitanie
ze średniej
przelejesz do kielicha
nektar rozkoszy
najmniejsza
wydobędzie z siebie
perłę zespolenia

Martin Kobiela



O sobie: Mam na imię Marcin. Urodziłem się w Warszawie i ponad trzydzieści szczęśliwych lat spędziłem w moim mieście. Tutaj kończyłem technikum i jedną z państwowych, technicznych wyższych uczelni.

Jestem zwyczajnym, pogodnym facetem, który przed dwudziestu laty z hakiem, targany rozterkami polityczno-uczuciowymi, trafił (przypadkowo) w przepiękną bawarską krainę gór i zielonych łąk. Tutaj oddycham chłodnym alpejskim powietrzem i delektuję się zapachem suszonego siana.

Jak każdy emigrant przeżywałem wzloty i upadki, radości i smutki, tęsknotę za najbliższymi i wszystkie rozterki z tym związane. Stale rozkwitam i dojrzewam w mojej drugiej ojczyźnie i cieszę się każdym przeżytym dniem, niezależnie od pory roku, pory dnia i pogody.

Moje pisanie to ostatnie cztery lata. Zaczęło się spontanicznie i nadal sprawia mi ogromną przyjemność. Staram się być zrozumiałym poetą, łatwym w odbiorze i co najważniejsze – optymistycznym. Nawet nieświadomy uśmiech czytelnika powraca do mnie pozytywną energią. Myślę o sobie. Bo przecież „nie samym chlebem żyje człowiek”.

Mój literacki dorobek sfinansowałem z mojego prywatnego konta – to tomik wierszy *A kiedy mi życie dopiecze...* Reszta panoszy się na stronach portalu Publixo.com lub zalega w szufladzie :)

Nie bój się nieśmiertelności

Masz wokół siebie aniołki i duszki
Jesteś samotna, lecz nie jesteś sama
Często zasypiasz płacząc do poduszki
Często się żalisz, ale nie do Pana

Który się właśnie w Twoją stronę zbliża
Wyciągnij ręce, a poczujesz szaty
Nie bój się dźwigać codziennego krzyża
Nie bój się jutra, nie żyj tak na raty

Przestaw godziny, nie tylko dla psoty
Odwróć kalendarz, niech Cię nie pogania
Chwał poniedziałki bardziej niż soboty
Miłuj, wybaczej, skreśl oczekiwania

Wszystko jest chwilą, błyskiem świadomości
Co na tej ziemi śmieszy nas, co wzrusza
Nie bój się kroczyć do nieśmiertelności
Wsluchaj się czasem, co Ci szepce dusza

Złota rybka

Przybiegłem, drepczę wzdłuż brzegu
Gdzie jesteś, Złota Rybko?
Mróz idzie wielkimi krokami
Ogrzać pragnę Cię szybko

Szałem wełnianym z literek
W ciepłe warkocze i wzory
Zwyczajnie słowo po słowie
Tkanym w późne wieczory

Czapeczką w kolorze malin
Z pomponem pękatym jak bania
W figlarne rymy bogatym
W przenośnie i porównania

Nie lękaj się, Złota Rybko
Nie ściskam ukrytych życzeń
Mróz sunie w lodowym płaszczu
W srebrzystym srogi styczeń

Pancerz

Pancerz, Boże, mi ześlij
Na kształt niewidzialnej bani
Wśliznę się do niej, zanurzę
Nic mnie tutaj nie zrani

Żadne słowo fałszywe
Od lat udawane uczucie
Zdrada najbliższej osoby
Niepewność w każdej minucie

Uśmiech smutniejszy niż smutek
Troska zbyt często spóźniona
Zbliżenia naprędce z litości
Kłótnia niedokończona

Ucieczki w krainę książek
Budzenie się, zasypianie
Samotne, długie spacery
Tłumione pożądanie

Pancerz mi, Boże, ześlij
Odpocznę – boli mnie głowa
Przycupnę cichutko, przeczekam
Jutro zacznę od nowa

Trwale związki

Zawsze wierzyłem w trwałe związki
Nie spodziewałem się, że chemia
Może zatruwać w nas uczucia
A taki proces to anemia

Trudno określić jej początek
Trudno ustalić, gdzie przyczyny
Łatwiej objawy, łatwiej skutki
I czy w tym wszystkim, nie ma winy

Nasze dzieciństwo, nasza młodość
Odziedziczona genetyka
Rodzinne wzorce, sztywne ramy
Grono przjaciół, szkolna klika

Niechciana praca, ciągły chaos
Bzdurne konflikty, brak wytchnienia
Cholerna nuda, mdła codzienność
Zbyt mało miejsca na marzenia

Niepewne jutro, nadwrażliwość
Słomiany zapal, ociążałość
W oczekiwaniach skryta chciwość
Słaby materiał, krucha całość

Lecz kiedy chwiejna jest diagnoza
Nie ma powodów do chlupania
Może to tylko gra hormonów
Toksyczne skutki przekwitania

@TRAMENT

Dawno przestałem dla poklasku pisać
Stroić się w piórka, teksty polerować
W przyciasny gorset, czcionki wolne wciskać
Nieszczerym słowem znawców kokietować

Mam swoje lata, ulubione ścieżki
Dosyć natchnienia, zdrowy żar w stalówkach
Świeży @trament nęci niewinnością
Uśpione grzeszki, co skrywam w probówkach

O chłopcu i jego dziewczynce

Beata Szymura

chłopiec zapytał: „Księżniczko, co rośnie w twoim sercu? Czuję, jak się rozrasta, jak pęcznieje, potężnieje, jak pochłania cię”. Martwił się widząc, jak ona się oddala, jak robi krok w tył, gdy podchodził. „Mam larwę w sobie – szeptała cicho – wpęzła mi w krew, zasiedliła się pod skórą, wzięła ze mnie życie. Jestem jej domem, buduje ze mnie kokon. Spójrz jak wyciąga nóżki, jak się porusza we mnie, jak przybiera motyli kształt. On zaraz rozkwitnie, ten owad we mnie, rozpromieni się tęczą, zarumieni i wszędzie, jak owoc na wiosnę”. Szlochała dyskretnie, rozcierając sobie łzy po twarzy, odwracając wzrok. Czuł, że ucieka, że wymyka mu się z rąk.

Ona była już śpiąca i mdła, gdy potrząsał jej główką, próbując wydobyć ten sekret. Odleciała, powiedziałabyś, ale to nie ona – to w niej, to jej serce chciało odfrunąć, wraz z trzepotem motyli skrzydeł. Ona nie miałaby już serca wtedy – czy wiesz, jak może być pusto i ciemno w tym miejscu, gdy serce zniknie? Myślała: „Dlaczego nazywasz mnie swoją księżniczką, dlaczego chcesz dawać mi dobro, czy nie widzisz, że dawno już poszarżałam, że wyblakłam z tęsknoty, stałam się jałową skorupą, dałam się rozrosnąć obcym ciałom we mnie, stałam się ich pokarmem i krwią, wybudowały we mnie gniazdko, zasiedliły się w moich oczach i ustach, wychodzą nocą na żer, a później wracają, wciąż nienasycone i obce, mimo że oddychamy już jednym ciałem. Nie widzisz, naprawdę?”.

Chłopiec nie mógł tego dłużej słuchać. Chciał wyrwać to z niej, rozplatać i wyjąć, ale tak, by jej nie uszkodzić. Kiedy płakała, zbierał w dłonie jej łzy, nie chciał by traciła cokolwiek, to była część jej, jedna z tych oznak, że czuje; liczył je na palcach i przechowywał w szkatułce, modląc się, by mógł kiedyś je oddać, przelać w nią, nasączyć wyschnięte obcością tkanki. Ale to trwało – ona mizerniała, a on nie wiedział, jak jej pomóc. Bezradnie spoglądał na jej wychudzone, zranione ciało – rozkliwiał go ten widok i powodował gwałtowniejsze dreszcze. Rozważał: „Dziewczynko, dlaczego ubrałaś się w strach? Zimą wszystko jest białe, ale ty myślisz, że to też zło, że krzywdzi, choć maskuje się tym kolorem nie-

winności – rani na wylot, chłodzi ci rączki i stópki tak, że nie możesz już nimi poruszać. I tylko śpisz... Dziewczynko, jaki masz tam ten swój wyidealizowany, narysowany wyobraźnią świat, że nie chcesz go więcej opuszczać? Masz oczy ze szkła, i w momencie, gdy zaboli w ten sposób ostateczny, roztłuczysz się, stracisz wzrok. Ty myślisz, że to lepiej: nie będziesz musiała już dłużej oglądać jak ludzie się nienawidzą, albo jaki kolor ma gniew. Twoja skóra jest zbyt wrażliwa – każde słowo natychmiast wypala ci się na rękach albo udach, i już nawet nie krzyczysz – przywykłaś do tego uczucia parzenia – i jesteś taka nieruchoma, bezwładna, jakby to nie ciebie dotykało to wszystko. Znalazłaś takie miejsce w sobie, w które wtedy uciekasz, zostawiasz tylko nieczułą powłokę. Myślisz sobie, że jeśli ją zniszczą, to ty się uchronisz – przecież nie ma tam ciebie, przecież dawno uciekłaś. Wiesz, że tylko ty wierzysz w to kłamstwo”.

I dalej mówił: „Najtrudniej jest, kiedy jesteś w tym konkretnym miejscu i o tym czasie, kiedy to trwa, a ty wiesz, że nie skończy się prędko, że to pułapka, z której nie ma drogi ucieczki. Jesteś wtedy taka żywa – bardziej się nie da – i odczuwasz to tym dotkliwiej. Czujesz, że masz ciało i jak ono jest kruche, czujesz że masz serce i jak bardzo je to rani, czujesz, że masz myśli i jak złężnione są ich słowa. Nie czujesz tylko, że masz się na kim wesprzeć. A potem kamieniejesz, zasztywniasz się gdzieś, milczysz, jakby to mogło spowodować, że znikniesz. Wiesz, że nigdy nie masz tego, czego potrzebujesz. Wiesz, że będziesz tu aż do końca, mała i sama, wśród śniegu.”

Bezsilnie zaciskał dłonie, odtwarzając w głowie to wszystko. *Nie p r a w d a*. „Ja jestem”, mamrotał. Chłód podszedł mu już do gardła.

„Wiesz, moja skóra już schodzi, będę brzydka i naga, zlinięję, zejdem z siebie” – mówiła, a on kręcił głową. Była piękna zawsze – nad ranem, w południe i wieczór, i nocą, o każdej porze, była piękna w każdym szczególe, od początku do końca, dla niego. „Nie dam ci umrzeć, księżniczko, nie zostawię cię”, powtarzał. Czy życie rodzi tylko śmierć?

Nocą, kiedy krzyczała najgłośniejszym głosem, przywarł do niej ciałem tak ściśle, że połączyła ich ta bliskość, zlepiała w potrzebie, wytworzyła więź, której już nikt i nic nie mogło przerwać – „Niestraszne mi nawet zło z tobą, dziewczynko, przetrwamy je”. I choć jej serce drgało i czekało na wybudzenie, złączyli się z sobą tak mocno, że czas się zatrzymał. Zrosli się, zapuścili korzenie w glebę, otoczyli się

lasem, pokryli korą. Oddał jej swoje serce, pochłoniął ją w nie, starli się tak przejrzeć, że wystarczyło im, by być. Któregoś wieczoru tamto drętwe i nie-jej po prostu wleciało, to była sekunda, krwawy odgłos rozdierania i już, on stłumił jej krzyk, wziął go na siebie, a potem dał jej oddychać swoim płucem. To było tak wygodne i dobre – mieć jego ciało, jak swoje, stać się jego sercem i dzielić myśli, że przyjęli los, który na nich spadł z wdzięcznością, nie strachem. Dziś szumią, nad twoją głową, szepcząc w najwyższych koronach, on jej mówi jak bardzo, ona powtarza że też, a wiatr niesie to echo, te słowa, niewyraźne i ciche, coraz bledsze dla świadków, wciąż żywe dla nich. Czy wiesz, że razem jest lepiej, gdziekolwiek i jakkolwiek, we dwoje, o zmroku i świcie, w jednym ciele, rok za rokiem, kolejny wiek..? Na zalanej słońcem polanie Rosną, trwali i silni, jak drzewa.



Mieć świadomość

Katarzyna Sternal ska

Nie bądź bankrutem miłości

Mieć świadomość, że te splecione dłonie, nie tylko łączą ciało, ale i duszę. W spojrzeniu odbija się nie tylko moje, ale i jego dobro. Zaś to upragnione szczęście nie tylko dzieli się na dwoje, ale i przemnaża w matematyce uczuć.

Kochany, kochana

Mieć świadomość, że pośród tysiąca spojrzeń, setek uścisków dłoni, kilkudziesięciu: – Dzień dobry! – rzuconych w przelocie, paru pocałunków... Jest jedno takie spojrzenie, jest jeden taki uścisk dłoni, jest jedno takie „Dzień dobry!” i jest jeden taki pocałunek należący tylko do Ciebie, *kochany*.

Zdobywaj kochając

Mieć świadomość, że jest się w związku z kimś, kto rozniecając ogień miłości, ciągle będzie do niego dorzucał kłody drewna, by płomień nie ugasł. Bo przecież nie wystarczy tylko zdobyć uczucie i spocząć na laurach, spijając śmietankę. Trzeba nieustannie się starać... I nie myśl, że ukochanej chodzi o ciągle dostawanie bukietu róż, czy też kilkunastokaratowego pierścionka. Każda chce być zdobywana. Chce poczuć się piękna u Twego boku. Chce wiedzieć, że kiedy wymykasz się rano z łóżka myślisz o niej. Chce przeczytać skreśloną pośpiesznie kartkę z napisem: – *Pragnę Cię*. Ona nie tylko chce być, ale i chce wiedzieć, że nawet 26 lipca 2010 roku jest kochana. Tak jak wtedy...

Przestępcy

Mieć świadomość, że złodziej, który skradł Twoje serce, ukradnie i jutro, i pojutrze, i całą przyszłość. I nigdy... Nigdy nie stanie się mordercą miłości, jaką go darzysz. Lecz i Ty niewzruszenie kradnij jego cenne chwile, pocałunki, objęcia,

minuty na rozmowie o niczym. Łamcie to siódme przykazanie! Bylebyście tylko byli szczęśliwi. Dziś. Jutro. Zawsze.

Kiss me, now

Mieć świadomość, że są takie usta, którym... Tylko Ty skradasz pocałunek. Tylko Ty zwilżasz językiem spierzchnięte wargi. I tylko do Ciebie Igną w czułościach, których ciągle mało. Mieć świadomość, że pomimo lat, utartych ścieżek a być może i monotonii, która nieproszona wtargnie do domu... Właśnie te usta – *tak jak zwykle* – muśnięciem warg, obudzą Cię przy rześkim „*Dzień dobry*” o poranku i ukołyszają do snu delikatnym „*Do jutra, kochanie*”.

Euforia z endorfiną

Mieć świadomość, że budzisz się u boku kogoś, kto nie jest tylko chwilowym zapełnieniem pustki lub jednym z wielu kochanków na jedną noc. Mimo, że ludzie są dalecy od ideałów, a uczucia tak do końca nigdy nie będą doskonałe... Wiedz, że warto poczekać. Dziś tak wielu z Was sądzi, że trzeba chwycić dzień garściami i wyciskać z niego ostatnie soki. Lecz w dobrej zabawie trzeba znać umiar i mieć trochę przyzwoitości w zapasie. Bo i tym cholernym nadmiarem endorfiny możesz się w końcu zadławić!

Niegdyś, teraz, po latach

Mieć świadomość, że jest takie spojrzenie, które zachłannie rozpina Twoje guziki przy bluzce uwydatniającej kobiece wdzięki. Które, tak jak Ty, czuje płomień pożądania, kiedy wychodzisz wieczorem z łazienki owinięta ręcznikiem, a na ciebie widać jeszcze kropelki wody. Które szuka Twojego wzroku pełnego miłości. Które dostrzega, kiedy jesteś smutna, kiedy wesoła... Kiedy chcesz coś powiedzieć i brak Ci odwagi. Kiedy żartujesz, kiedy jesteś znudzona... Mieć świadomość, że *to samo spojrzenie* powie w przyszłości: – Jestem szczęśliwy, bo mam Ciebie. (*Tak jak wtedy przed laty.*)

Jutro też będziesz dla mnie najważniejszy

Mieć świadomość, że po latach, kiedy... Przemienie uroda, zmaleje pociąg fizyczny, poznamy partnera na wylot; nadal będzie się dla kogoś najważniejszym. I seks nie będzie tylko małżeńskim obowiązkiem, a miłość przyzwyczajeniem, czy też zwykłą chęcią stałości.

Mieć świadomość, że jesienią życia nadal ma się kogoś, na kim można polegać. Kogo wciąż będzie interesowało, co myślisz, czujesz... Wszakże w związku nie można ograniczyć świata do tu i teraz. Bo jest też jutro, które również powinno nosić twoje imię.



Anna Teodorczyk > Czerwień



O sobie: Mam 22 lata, z wykształcenia jestem technikiem masażu, a kilka dni temu otrzymałam informację, że wpisano mnie na listę studentów na wydziale grafiki. Choć bezrobocie dotknęło i mnie, moje dni są tak wypełnione „pracą”, że najczęściej opuszczam pokój, (moją pracownię), po otrzymaniu natarczywych sygnałów od matki natury. Kocham sztukę, ot co! Sztukę dobrej książki, czy komiksu, dobrej gry komputerowej lub planszowej, no i obrazu. Moja uwaga skupia się na tak wielu perspektywach, że czasami zdaje mi się, że to nie może być do końca normalne...

Ale co poradzę? Dawno temu, powiedziałam sobie, że chcę „coś” stworzyć i od tamtej pory, w moim umyśle pojawia się wiele historii, które można by opowiedzieć i wiele obrazów, które chciałabym pokazać. Nie zawsze starczy mi umiejętności, czy zapału, by w pełni odzwierciedlić własne myśli, ale zawsze mogę próbować.

O książce: Pisaniem zajęłam się na długo przed czytaniem książek, które prawie do piętnastego roku życia, wydawały mi się najnudniejszą formą rozrywki. Ale, chociaż czytanie było „bleee”, pisanie mnie pasjonowało. Zaczęło się w podstawówce od bajek dla dzieci, później w gimnazjum były czarownice, a w liceum mało popularne wówczas wampiry. Wreszcie zajęłam się tematyką świata zmarłych, w którą zupełnie przypadkiem wkradły się anioły, demony i w końcu sam Stwórca.

Czerwień zawiera w sobie wiele motywów, znanych już filmom, czy literaturze. Mamy tu jakże popularny motyw zemsty i nieszczęśliwej miłości, a także faustowski pakt z diabłem.

Co jednak, w moim mniemaniu, wyróżnia ten znany świat, spośród wielu innych?

Mamy tu niezwykłą kobietę po trzydziestce, pozytywną postać zdradzającego męża, anioły, które są jak fanatycy religijni i demony, które nie są z natury złe, tylko przechodzą chwilowe załamanie wiary, a co najlepsze: Piekła nie ma, ale Bóg, jeśli ma humor, potrafi być wrednym skurwielem.

Jeśli chodzi o stronę wizualną, chciałam dać czytelnikowi coś więcej niż zlepek tekstu, tak więc książka została wzbogacona o ołówkowe ilustracje mojego autorstwa. Można podziwiać;-P

Latek nikomu nie ubywa, a ponieważ lubię utożsamiać się z postaciami z książek, chciałam stworzyć bohaterkę, która w powieści o tematyce fantastycznej wybija się z przedziału wiekowego 16-25 lat, do którego zaliczają się również wampiry czy długowieczne czarownice z wyglądem i mentalnością nastolatki. Władana ma więc pierwsze zmarszczki, nie jest oszałamiająco piękna i w tym wieku wciąż uprawia seks dla przyjemności, a nie z obowiązku. Chciałam pokazać, że kobiety także powyżej wieku podlotka nadają się na obsadzenie ich w głównej roli w książce fantasy, że po skończeniu studiów nie stają się bezosobowymi kukłami.

Po drugie, w powieść wkraśli się pewne moje wątpliwości i przekonania religijne. Zawsze stałam rozdarta pomiędzy ateistami, którzy twierdzili, że miłosierny Bóg nie pozwoliłby na to, co dzieje się na świecie, a wierzącymi mówiącymi o boskim planie i diable zwodzącym ludzi. Wreszcie zapytałam sama siebie: *Dlaczego ktoś z góry założył, że Bóg musi być dobry, a jakiegokolwiek istoty, tym bardziej stworzone przez Niego samego, mogą mu zaszkodzić?* To tak, jakby nagle simy z gry The Sims mogły coś robić graczowi. W świecie *Czerwieni*, Bóg to Bóg. Może robić, co chce i być jaki chce, niekoniecznie taki, jakim chcą Go widzieć śmiertelni. Aniołowie są jak fanatycy religijni, a demony to ludzie z podłamaną wiarą. Taki też jest Gabriel, był anioł z podłamaną wiarą, choć nie jest z natury zły. Do Piekła za to nie idą ludzie, tylko wysocy rangą aniołowie, którzy załamali się całkowicie i prowadzą z góry przegraną walkę ze Stwórcą, który z jakiegoś powodu, nie chce ich zniszczyć.



Anna Teodorczyk

Czerwień

Wydaje.pl 2011

98 stron

wersja ilustrowana

ebook

Do kupienia na: wydaje.pl

Strona autorki: anna.bestq.pl

Fragment książki:

Zacisnęła ze złości zęby i raz jeszcze, próbowała zmienić swoje położenie. Gdybym mogła choćby iść na czworakach, myślała zdeterminowana, lecz łapała tylko gorączkowo potężne hausty powietrza, które parzyły ją w płuca, jakby łykała ogień. Ta bezradność i uczucie osamotnienia, budziły w niej wściekłość. Zamknęła oczy, a łzy stróżkami zaczęły płynąć jej po twarzy. Machinalnie wystawiła ku nim język. Koniuszek musnął słoną ciecz, lecz nie mogła w ten sposób zaspokoić pragnienia. Rozpacz brała górę nad odwagą, z którą zdecydowała się przybyć do Miasta Aniołów.

Zaskakujące było to, że Vladana wcale nie myślała o mężu, czy o Gabrielu, którego porzuciła. Myślała o Bogu. Myślała o tym, że gdyby była w stanie wspiąć się na górę, w której miał swój pałac, ubiłaby z nim interes. Chciałaby, aby na jeden dzień zamienił się z nią miejscami, po czym zamknęłaby go w tym okropnym miejscu, bez jego ukochanych wytworów; z dala od ludzi. Czy nie była to nazbyt śmiała myśl? Sam pomysł „lubienia” czegokolwiek, w ludzkim pojmowaniu sprawy, przez istotę, której natury nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, zasługiwał na miano co najmniej heretyckiego. Ale gdyby mogła...

Leżała i czekała, aż coś się stanie. Tymczasem nastał zmrok, niosący z sobą zimno, równie uciążliwe, co gorąco słońca. Krajobraz zrobił się niebieski i głęboki, a czarne niebo pokryły światła niezliczonych, niewidocznych za dnia światów.

Był to obraz tak samo straszny, jak i piękny. Przypomniało jej się, jak gnębiona chłodem, leżała równie bezsilna na początku swojej wyprawy. W kościele świętego Judy.

– Patron spraw beznadziejnych – szepnęła sama do siebie, a na jej ustach pojawił się drwiący uśmiech.

Nagle jeden ze święcących punktów zaczął poruszać się po okręgu. Przez chwilę wydawało jej się, że ma przywidzenia, lecz wtem wszystkie gwiazdy i planety zaczęły kręcić się, zaznaczając na niebie idealnie równe koła, zgodne z ruchem wskazówek zegara. Po kilku minutach, ku własnemu zdumieniu, odkryła, że była w stanie dostrzec pierwsze humanoidalne kształty. Wyteżyła wzrok, chcąc wyłapać jak najwięcej szczegółów i wreszcie ujrzała pierwszego z NICH. Pierwszego anioła, pozbawionego jednego ze skrzydeł. Później pojawiali się już lawinowo.

Wystawiła do nich ręce, wreszcie uwolnione, jakby chciała, aby zlecieli na ziemię i ponieśli ją ku górze, gdzie nie byłaby już sama. Oni jednak zatrzymali się na pewnej wysokości i tylko nieprzerwywalnie, zaznaczali okręgi.

Marek Pełka > Świat gorącego słońca



O sobie: Urodziłem się w Warszawie w roku 1951. Ukończyłem studia dzienne na Uniwersytecie Warszawskim – Wydział Nauk Ekonomicznych na kierunku: Cybernetyka Ekonomiczna i Informatyka.

W czasie odbywania przed studiami dwuletniej czynnej służby wojskowej ukończyłem Szkołę Podoficerów i Młodszych Specjalistów Wojsk Łączności.

Pracowałem w Narodowym Banku Polskim, Centrali Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń, Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Systemu Państwowej Informacji Statystycznej, Centralnym Ośrodku Informatyki Statystycznej, aby ostatecznie osiąść w Głównym Urzędzie Statystycznym.

Obecnie mieszkam w Warszawie na Ursynowie. Mam dwoje dzieci: syna Dominika i córkę Agatę.

W moim dorobku znajduje się około trzydziestu publikacji wydanych w: *Wiadomościach Ubezpieczeniowych*, *Wiadomościach Statystycznych*; *Materiałach konferencyjnych SPIS w serii Systemy Informatyczne*; *GUS*, *OBR*; *Biuletynie Informacyjnym Rady Głównej Polskiego Towarzystwa Statystycznego*; *Computerworld*. Bardzo mnie cieszą, zwłaszcza jeden z artykułów zamieszczonych w *Computerworld* (dostępny na stronie internetowej Redakcji) zatytułowany: *Nośniki informacji – od kamienia do dyskiety*.

O książce: Zawsze pasjonowałem się książkami, najbardziej podobały mi się książki o tematyce historycznej, przygodowe oraz fantastyka. Najmiej wspominał książkę Bohdana Korywieckiego *Przez Ocean Czasu*.

W późniejszych latach zorientowałem się, że w czytanych książkach zaczyna mi czegoś brakować i często myślałem o napisaniu dla siebie takiej książki, która by zaspokoiła moje upodobania. Stąd powstał pomysł na napisanie *Świata gorącego*

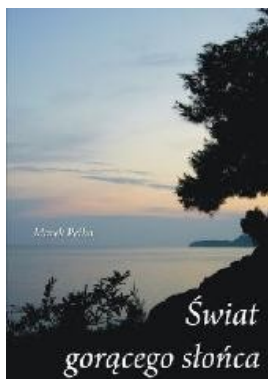
cego słońca. Książka ta jednoczy fantastykę z powieścią przygodową, nawiązując też trochę do Verna.

W obecnych czasach nie jest już realne odkrywanie nowych kontynentów, nowych światów – chyba już wszystko zostało rozpoznane, opisane, sfilmowane, za-właszczzone. Trzeba szukać innych rozwiązań – wehikuł czasu pozwala dotrzeć do takich niezbadanych obszarów, a jednocześnie pozwala odkrywcy być wolnym. Książka *Świat gorącego słońca* opisuje dokonania zwykłego człowieka, któremu po perypetiach życiowych los daje niezwykłą szansę zbudowania wehikułu czasu i przeniesienia się w nim do świata z przełomu miocenu i pliocenu. Człowiek ten dysponuje tylko dostępną mu techniką i korzystając z możliwości, jakie mu daje wehikuł, żyje w dwóch światach, tzn. mieszkając już w nowym – korzysta ze zdobyczy starego w możliwy dla niego sposób. W tym nowym świecie człowiek jest wolny, na jego los nie mają wpływu organa państwowe, dysponuje, wszelkimi dobrami tego świata i może go kształtować na swój sposób. W prezentowanej książce nawiązuję do innych powieści, podając szczegóły dotyczące życia zwierząt, rozwoju człowieka i inne.

W książce opisane są krajobrazy, zwierzęta i roślinność wymienionych epok, na jej końcu znajduje się aneks, w którym są wymienione zwierzęta kenozoiku. Być może nie w pełni wszystko odpowiada rzeczywistości, ale proszę pamiętać, że autor nie jest z wykształcenia paleontologiem ani paleozoologiem, a poza tym jest to urealniona fantastyka.

W chwili obecnej jestem w trakcie pisania drugiej książki, także dotyczącej podróży w czasie, lecz całkowicie odmiennej od prezentowanej. W książce *Świat gorącego słońca* człowiek dysponuje tylko tym, co posiada, w drugiej dysponuje zaawansowaną techniką. Te dwie książki uzupełniają się.

Książka *Świat gorącego słońca* jest moim debiutem literackim, dlatego proszę czytelników o wyrozumiałość, gdyby się okazało, że znajdują się w niej jakieś błędy lub niedomówienia – elektroniczny zapis książki umożliwia dokonywanie korekt.



Marek Pełka

Świat gorącego słońca

My Book 2010

449 strony

Do kupienia na www.mybook.pl

Fragment książki:

(...) rzuciłem jeszcze ostatnie spojrzenie na otaczający mnie świat i... zasunąłem suwak namiotu, a następnie umocowałem na wejściu szczelną kotarę napompowaną helem. Po wykonaniu tych czynności przygotowałem wewnątrz urządzenie do startu, to znaczy nastawiłem zegar, a później kolejno ustawiałem suwaki na odpowiednich pozycjach, koniecznych do uruchomienia aparatury. Gdy wszystko było już gotowe, z biciem serca włączyłem i nastawiłem starter. Chwila wyczekiwania dłużyła mi się bardzo i aż się przestraszyłem, gdy usłyszałem wreszcie trzask startera, po czym zielone światło objęło w jednej chwili w swoje posiadanie wnętrze wehikułu. Zauważyłem przy tym także, że cały namiot jeszcze bardziej zeszywniał. No tak, przecież ja z moim bagażem znalazłem się wewnątrz bąbla magnetycznego, który naładowany energią przepychał się wraz z zawartością przez tunel czasoprzestrzenny do zaprogramowanego czasu. Tak właśnie działał zbudowany przeze mnie wehikuł.

W czasie samego transferu, w otaczającej mnie zielonkawej poświacie, słabo słyszałem i źle widziałem. Jednak, jak się przekonałem, nic mi nie groziło i nie czułem innych ubocznych objawów poza doznanymi, poza tym myszki przeżyły pierwszą wyprawę. Przemieszczanie się bąbla energetycznego w tunelu czasowym trwało, jak sprawdziłem później na zegarze aparatury, tylko – lub aż – siedemnaście minut, po tym czasie zielonkawe światło przybladło, zgasło, a aparatura samoczynnie wyłączyła się, sygnalizując ten fakt głośnym pstryknięciem. Nastąpiło całkowite rozładowanie się konlatora i moja podróż w czasie dobiegła końca.

Byłem w tym miejscu czasoprzestrzeni, które zaprogramowałem na zegarze wehikułu, należało tylko zadać sobie pytanie – gdzie teraz jestem, w jakim miej-

scu i w jakim czasie, a może w jakim świecie równoległym? Powoli wyjąłem broń z pokrowca i naładowałem ją. Wcześniej tego nie robiłem, ponieważ nie wiedziałem, jakie mogą zająć reakcje przy przeskoku i czy broń sama nie wypali. Żeby załadować taką strzelbę, należało wsypać do luf odmierzone porcje prochu, następnie wsunąć w nie zwitki papieru oraz ołowiane kule i ubić to wszystko długim prętem tzw. pobończykiem. Ale to nie wszystko, trzeba jeszcze było założyć kapiszony na kominki i naciągnąć kurki. Po każdym wystrzeleniu broni wszystkie te wyżej wymienione czynności należało powtórzyć. Dodatkowo przygotowałem mały aparat tlenowy, ponieważ nie byłem pewny, w jakiej atmosferze przyszło mi się znaleźć.

Z wahaniem i obawą rozsunąłem teraz wewnętrzną kotarę, chroniącą wnętrze wehikułu, i przytknąłem oko do małego metalowego wizjera, zainstalowanego w zewnętrznej płachcie namiotu, starając się zobaczyć, gdzie się właściwie znalazłem.

Na zewnątrz było bardzo jasno, a przed moim okiem rozpościerał się rozległy obszar zieleni przeplatanej wszystkim barwami tęczy, co sprawiało wrażenie, jakby wehikuł wylądował na łące porośniętej bujną, zieloną trawą i różnokolorowymi kwiatami. Teraz już bez obawy rozsunąłem wejście do namiotu i rozchyliłem tkaninę. Poczułem podmuch wdzierającego się do wnętrza powietrza, który przyniósł mi zapachy tego nowego świata. Tak, to prawda, wzrok mnie nie zawiódł, a zmysł węchu poświadczał, że znajdowałem się na przepięknej, ukwieconej, soczystej zielonej łące, której trawy i rosnące wśród niej kwiaty pokryte były rosą i pajęczynami. Powietrze wpływające do wnętrza było świeże i dało się nim swobodnie oddychać, odstawiłem zatem trzymany w ręku aparat tlenowy. Z nabitą kapiszonówką w jednej, a z maczetą w drugiej ręce wydostałem się wreszcie z wehikułu. Oddaliłem się od niego na kilka kroków, zawiesiłem maczetę u pasa i rozejrzałem się z ciekawością dookoła.

Widok, który się przede mną roztaczał, oczarował mnie zupełnie, po prostu zapierał dech w piersiach. Z tego powodu stałem przez dłuższy czas nieruchomo, rozkoszując się pięknem i przedziwną harmonią tego niezwykłego świata. Przegromna łąka schodziła na zachodzie wprost do rozległego jeziora, odległego od wehikułu o kilkadziesiąt metrów, a wokół tej trawiastej przestrzeni, którą można było nazwać wielką polaną, o rozmiarach jakichś stu osiemdziesięciu na trzysta

pięćdziesiąt metrów, rozpościerały się z trzech stron ściany odwiecznej puszczy. Że była ona prastara, widać było na pierwszy rzut oka, o jej wieku świadczył bowiem ogrom rosnących na skraju polany drzew. Nad lasem wysoko w górze jaszkrawo świeciło ogromne, żółte i gorące słońce, a od strony puszczy dobiegały głośne ptasie trele, na które to odgłosy dopiero teraz zwróciłem uwagę.

Rozglądałem się bacznie dookoła, jednak nie zauważyłem na polanie większych zwierząt, być może przybycie mojego wehikułu je wypłoszyło, a może zerowały nocą. Chociaż raczej nie, gdy się dobrze wpatrzyłem w dal, na wschodnim krańcu polany ujrzałem nieliczne stadko zwierząt wielkości naszej sarny. Odległość od nich była jednak zbyt duża, promienie zawieszonego nad lasem słońca świeciły mi prosto w oczy i ograniczały widoczność, a trawy rosły zbyt wysoko, abym mógł z całą pewnością stwierdzić, co to są za stworzenia.

Zaintrygowało mnie jednak coś innego, kiedy wpatrywałem się w ogromne słońce. Z ceglowskiego lasu startowałem przed godziną piątą rano, w tym świecie musiało być jednak już daleko później, a to po prostu znaczyło, że po przeskoku nie trafiłem w ten sam czas dobowego obrotu Ziemi, chociaż wydawało mi się, że pora roku jest ta sama. Jednak w tej sytuacji będę musiał ustalić to wszystko bardziej szczegółowo.

Łąka, na której stałem, żyła swoim życiem. Nad trawami unosiły się licznie owady, wśród przelatujących tu i ówdzie motyli udało mi się, ku swojemu zdziwieniu, rozpoznać i takie, które były podobne do znanych mi rusałek, sfinksów i bielinków. Wokół dało się słyszeć nieustające brzęczenie o różnorodnej tonacji i natężeniu – w ten sposób dawały o sobie znać rozliczne, pobudzone ciepłem słonecznych promieni owady. Kierując wzrok ku źródłom dźwięku, odkrywałem pszczoły, trzmiele, osy i szerszenie, najgłośniej jednak dawały o sobie znać żuki i muchy, nieco cichsze były inne owady. Natomiast w niższym piętrze traw zerowały chyba tysiące koników polnych i szarańczaków – przyskały one pod moimi stopami całymi niezliczonymi hordami. Za tym całym owadziim światem uganiały się tu i ówdzie ptaki. Wszystko to wyglądało na jakąś rajską sielankę: zwierzęta, owady, nieprzebyta puszcza, ale czy to są jedyni mieszkańcy tego świata? A może żyją tu także jakieś istoty myślące? Tknięty tą myślą, obrzuciłem wzrokiem okolice, szukając jakichkolwiek śladów bytności istot inteligentnych. Ku mojej radości, było ich brak, żadnych budowli i budynków, nigdzie w powietrzu

nie unosiły się dymy, puszcza nie wyglądała na zagospodarowaną, jezioro także, poza tym nie słyszało się żadnych odgłosów działalności takich istot, jak na przykład warkotu silników, w powietrzu nie unosił się także żaden powietrzny statek.

Odetchnąłem z ulgą – ten świat wyglądał na bezludny, a widziane owady wydawały mi się znajome, co troszkę upewniało mnie w przekonaniu, że nie mógł to być świat równoległy do mojego. Żeby się jednak ostatecznie o tym przekonać, musiałem spotkać jakieś większe zwierzę. Odszedłem trochę dalej od namiotu, ciesząc się przy tym, że tak przyjemnie było maszerować wśród kolorowych kwiatów przez dziewiczą łąkę, rozkoszując się pachnącymi ziołami powietrzem. Wędrując tak nieopodal wehikułu, dostrzegłem także inne mniejsze zwierzątka – były to chyba myszy, a może norniki lub ryjówki. Prawdopodobnie dwukrotnie dały o sobie znać szczekuszki lub jakieś inne małe ssaki bardzo do nich podobne. Tak, ten teren był niezwykle malowniczy, lecz ja nie mogłem się w tej chwili zachwycać krajobrazem i obserwować mieszkańców tego świata, gdyż miałem co innego na głowie.

Aneta Rzepka > *Tohańska branka*



Sylwetka: Urodzona w 1980 roku. Obecnie mieszka w Warszawie, raczej z przypadku niż z miłości do dużego miasta. Studiowała na Wydziale Nauk Humanistycznych UKSW.

Z dobrą książką zaprzyjaźniona od dzieciństwa. Już jako niemowlę metodą „trzech p” (pognieść, podrzeć, połknąć) czytała pilnie Sienkiewicza. Później przyszedł czas na pierwsze bajki – rymowanki, wierszyk o Murzynku i samodzielne poznawanie czarno białego świata literek. Pokochała go tak bardzo, że sama zaczęła pisać. Prawdziwą przygodę z rzemiosłem tworzenie tekstów

literackich zaczęła od publikacji na Portalu Pisarskim.

Pisanie traktuje przede wszystkim jak wspaniałą przygodę i sposób na oderwanie od codzienności. Jeśli jednak to, co stworzy spotka się z czyjąś aprobatą – radość jest podwójna, bo przecież to czytelnik nadaje wartość dziełu. Jedno z jej opowiadań znalazło się w antologii *Ten pierwszy* wydanej przez e-bookowo.

O książce: *Tohańska branka* początkowo miała być inną baśnią o Kopciuszu. Inność miała tu polegać przede wszystkim na tym, że dziewczyna nie chce poślubić królewicza, woli zostać w domu i wieść spokojne, choć niepozbawione zmartwień życie. Los musi się jednak wypełnić. Tak powstał początek i koniec opowieści – główna bohaterka, Odylia, miała złożyć przysięgę małżeńską. Nie mogło się to jednak stać bez walki. Dla kontekstu, Odylia nie jest niechcianą w domu pasierbicą, ale kochaną i poważaną córką zmarłego wodza, której odebrano prawo do miłości, decydowania o własnym losie, a nawet prawo do narzekania, bo jej niezadowolenie mogłoby wywołać konflikt zbrojny.

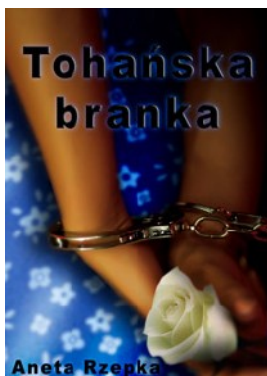
Kiedy miałam już zarys głównego wątku, postanowiłam osadzić go w wymyślonej przez siebie krainie, gdzie panują zwyczaje inne od tych znanych w dzisiejszym świecie, ludzie żyją według innego rytmu i kierują się zasadami dyktowanymi przez Boga Jasności. Wymyślenie tego świata, sprawienie, że obyczajowość

będzie wyglądała naturalnie, a reguły nie podważą zdobyczy nauki, było największym wyzwaniem. Później należało jeszcze opisać i zrobić to tak, żeby nie zanudzić, ale powiedzieć wszystko, co czytelnikowi może być potrzebne do zrozumienia poczynąń bohaterów oraz wyobrażenia sobie „mojego” świata.

Do tej nowej obyczajowości przenieśliśmy jednak ponadczasowe wartości takie jak miłość, przyjaźń, zdolność do poświęcenia, pragnienie szczęścia i dobro, które zawsze się opłaca.

Tohańska branka jest opowieścią o duchowym, psychicznym i fizycznym zniewoleniu młodej dziewczyny. Jest to niewola okrutna, bo zadana przez szanowanego ojca i kochanego brata. Uciekając przed losem, Odylia doświadcza wszelkiego rodzaju cierpień. Te fizyczne znosi dzielnie, ale te zadane wrażliwemu, zdolnemu do miłości sercu sprawiają, że radosna dziewczyna zamienia się w pragnącą śmierci kobietę.

Muszę przyznać, że bardzo zżyłam się z bohaterami powieści. Zapewne dlatego, że najpierw zamieszkali w mojej wyobraźni, a później stworzyłam im świat, w którym mieli żyć, cierpieć i być szczęśliwymi. Często piszząc zastanawiałam się, czy dana postać na pewno powinna tak postąpić, czy to odpowiada cechom jej osobowości. Bywało tak, że zmieniałam całe partie tekstu tylko dlatego, że jakaś postawa zupełnie nie pasowała do bohatera. Często popadałam w bezsilność, bo miałam wrażenie, że elementy układanki słabo do siebie pasują. Odkładałam pisanie na długie tygodnie. Na szczęście przyjaciele z Portalu Pisarskiego potrafili zmobilizować mnie do dalszej pracy nad tekstem. I z ich pomocą dobiegłam do upragnionego finału.



Aneta Rzepka

Tohańska branka

E-bookowo 2010

174 strony

ebook

Do kupienia na: www.e-bookowo.pl

Fragment książki:

– Wejdz, Odylo – powiedział wódz. Był bardzo blady, smutny, zgaszony, jakby przygnieciony jakąś niemiłą wiadomością. Bardzo szybko mrugał oczami, co świadczyło o wzburzeniu, nawet gniewie. – Dobrze, że jesteś.

Na dźwięk imienia dziewczyny, posłaniec ożywił się, skłonił nisko głowę.

– Witaj, pani – rzekł głosem pełnym szacunku.

– Witaj, panie – odparła, posyłając mężczyźnie blady uśmiech. – Jak ci na imię? Skąd przybywasz?

Posłaniec spojrzał niepewnie w twarz Odylii. Najwyraźniej nie spodziewał się takiego zainteresowania z jej strony.

– Jestem Blautus, pani – odparł. – Przybyłem z Tohany, od króla Gidara.

Panna drgnęła, w jej oczach pojawił się niepokój. Posłannictwo z królestwa było w Kunicach nie lada wydarzeniem i musiało zwiastować coś złego. Pamiętała, że ojciec kiedyś jeździł do Tohany w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Osiągnął swój cel, zwykł jednak mawiać, że zapłacił za niego bardzo wysoką cenę. Miał zapewne na myśli własne zdrowie, bo dwa lata później odszedł do Krainy Wiecznej Szczęśliwości.

– Droga musiała być męcząca – rzekła dziewczyna zatroskanym głosem. – Proszę, aby przygotowano ci komnatę i odpowiedni posiłek, panie.

– Dziękuję za gościnę, pani. Niestety, nie będę mógł z niej skorzystać. Muszę natychmiast wracać do domu.

– Bez ciepłego posiłku nigdzie cię nie wypuścimy. Paweł!

Do jadalni wszedł posługujący chłopiec.

– Słucham, pani?

– Zaprowadź Blautusa do kuchni. Dopilnuj, by dostał zupę i porcję pieczonego mięsa. Zapewne będzie też chciał chwilę odpocząć przed wyjazdem.

Mężczyzna nie śmiał wyrazić sprzeciwu, pokłonił się i w milczeniu podszedł do drzwi. Odwrócił się jeszcze na chwilę, aby zerknąć na zaniepokojone oblicze Odylii, po czym opuścił jadalnię.

Dziewczyna spojrzała pytająco na brata. Zgniółł w dłoni jakąś kartkę, zapewne list od króla. Pismo musiało zawierać jakieś złe nowiny, pomyślnych wiadomości nie traktuje się przecież w taki sposób. Czyżby znowu wzrosły ceny wydobycia i transportu węgla? Na terenie Tabynu nie było kopalni, plemiona musiały korzystać z surowca wydobywanego w królestwie. A może Toheńczykom nie będzie już potrzebne kunickie zboże, bo mają dość tego, które uzyskują z własnych upraw? A może postanowiono zrezygnować z importu owoców, bo psują się podczas transportu?

– Co się stało? – zapytała panna zaniepokojonym głosem.

– Usiądź, musimy porozmawiać – szepnął Olidar.

Posłusznie zajęła miejsce przy stole, położyła rękę na dłoni wodza i ścisnęła ją mocno. Chciała, aby brat wiedział, że może liczyć na jej pomoc, radę i wsparcie.

– Mów – zażądała.

– Gdy byłeś jeszcze dzieckiem, nasz ojciec obiecał Gidarowi, że zostaniesz żoną jego syna – wyznał niepewnie wódz. – Dlatego nie pozwalałem, żebyś spotykała się z chłopcami, chciałem ci oszczędzić rozczarowań. I chyba słusznie zrobiłem. Blautus przyjechał, żeby mi przypomnieć o umowie. Za kilka miesięcy będziesz musiała opuścić Kunice.

Wprowadzamy dialog – krok po kroku

Katarzyna Sternalska

Dialog przede wszystkim występuje w utworach literackich. Często można się z nim spotkać w opowiadaniach. Autorzy umieszczający swoje utwory na różnych portalach, bardziej zwracają uwagę na tekst niż jego poprawność, co jest błędem. Bo każda kropka ma znaczenie...

Dialog to wypowiedź dwóch lub więcej osób, które na przemian występują to w roli mówcy, to w roli słuchacza. Autor ma jeden cel – zapisać dialog tak, aby czytelnik mógł wyobrazić sobie tę rozmowę. Będzie ona jednak płynniejsza, a co za tym idzie, mniej naturalna, bo pozbawiona wszelakich przerywników i powtórzeń.

Autor powinien pamiętać, że:

- dialog nadaje tempo fabule; rozmowa w opowiadaniu nie może być nudna i rozwlekła, czytelnik przecież doszukuje się w każdym słowie znaczenia,
- postacie różnią się od siebie fizycznie, więc i mowa poszczególnych osób musi się od siebie różnić,
- nie wystarczy napisać samych słów, trzeba dodać, jaki wyraz twarzy miała osoba mówiąca, co robiła, kiedy wypowiadała takie, a nie inne, słowa.

Trzy najważniejsze zasady:

1. Przed każdą wypowiedzią należy wstawić myślnik, a po myślniku odstęp.
2. Wypowiedź innej osoby zaczyna się od nowego akapitu.
3. Opisanie tego, co robi osoba w trakcie, po, lub przed wypowiedzeniem kwestii należy umieścić w tym samym akapicie, np.
 - Chodź tutaj – powiedziała Anna. – Musimy porozmawiać.

Ponadto:

Przykład 1

– Witaj, tato – powiedział Grzegorz.

Kropka znajduje się na końcu zdania. Nie może występować po słowie „tato”, bo część po myślniku odnosi się do wypowiedzi.

Przykład 2

– Witaj, tato. – Grzegorz uściśnął dłoń ojcu.

Są to dwa osobne zdania. Drugie bezpośrednio nie nawiązuje do pierwszego, a narracja opisuje, co robi bohater. Stąd dwie kropki.

Przykład 3

– Witaj, tato – powiedział Grzegorz. – Nareszcie jestem w domu – dodał po chwili, ściskając dłoń ojcu.

Kwestię wypowiedzaną przez bohatera, przerywa wtrącenie narratora. To zamyka nam całe zdanie (tak jak w przykładzie pierwszym). Przedstawione zostały dwa takie same zdania, jedno po drugim.

Przykład 4

– Witaj, tato. – Grzegorz uściśnął dłoń ojcu. – Nareszcie jestem w domu – dodał, wnosząc walizki do środka.

Jest to mieszanka przykładu drugiego i pierwszego. Najpierw mamy kwestię wypowiedzaną przez bohatera, następnie wtrącenie narratora, znowu kwestię bohatera, która nie jest zakończona kropką, ponieważ drugie wtrącenie narratora nawiązuje bezpośrednio do wypowiedzi.

Przykład 5

– Witaj, tato! – zawołał Grzegorz. – Tęskniliście za mną? – spytał, dostrzegając wybiegającą przed dom matkę.

Wykrzyknik i pytajnik nie zamykają w tym wypadku zdania. Dlatego też wtrącenia narratora są pisane z małej litery.

Warto więc zapamiętać, że pytajnik (?) i wykrzyknik (!) nie muszą kończyć zdania, mogą się znajdować w jego środku.

Przykład 6

– Witaj, tato – usłyszałem głos Grzegorza.

Mimo że w rolę narratora wciela się ojciec, mamy tu jedno zdanie. Wypowiedź narratora, tak jak w pierwszym przykładzie, bezpośrednio odnosi się do kwestii powiedzianej przez bohatera.

Przykład 7

– Witaj, tato. – Ton głosu Krzysia był wesóły.

Są to dwa osobne zdania, gdyż zdanie po myślniku nie odwołuje się bezpośrednio do wypowiedzi bohatera. Narrator nie zwraca uwagi na to, jak dana wypowiedź została powiedziana, tylko w jaki sposób została wyartykułowana.

Mam nadzieję, że ten mały poradnik przyda Wam się w kolejnych pracach, jakiego będziecie pisać. Owocnej twórczości, drodzy Czytelnicy!

* na podstawie artykułu na forum (piszmy.pl)

Richelle Mead: *Melancholia sukuba*

Katarzyna „Immora” Pietraszko

(więcej recenzji autorki na blogu: my-fantastic-books.blogspot.com)



Richelle Mead to amerykańska autorka, znana przede wszystkim z książek o Georginie Kincaid i serii o Akademii Wampirów. Jej książki o wampirach to jedyne popularne powieści o tych krwiożerczych istotach, które mnie oczarowały, wciągnęły do reszty i do tej pory myślę o nich w samych superlatywach. Sięgając po „Melancholię sukuba” miałam nadzieję na coś równie dobrego. Całe szczęście, nie rozczarowałam się.

Georgina Kincaid to sukub z parowiecznym doświadczeniem. Służy złu, zajmując się uwodzeniem mężczyzn i wysysaniem z nich energii życiowej. Jest nieśmiertelna, a do tego posiada zdolność zmieniania swojej formy – zarówno wyglądu fizycznego, jak i ubrań. Georgina jednak nie jest zwykłym sukubem. Stara się wykorzystywać ludzi tylko wtedy, gdy zmusza ją do tego głód i powstrzymuje się od jakichkolwiek cieplejszych relacji z przedstawicielami płci męskiej, w trosce o ich, ale także o swoje, uczucia. Niestety, gdy do księgarni, w której jest zastępcą kierownika, przyjeżdża jej ulubiony pisarz, Seth, wszystko zaczyna się komplikować. Dzielnie opiera się emocjom, póki nie spotyka przystojnego Romana... W międzyczasie wśród okolicznych nieśmiertelnych ktoś urządza sobie krucjatę, w którą sukub nieopatrznie się wplątuje. Wrodzona ciekawość nie pozwala Georginie zaprzestać śledztwa i, mimo nalegań przełożonych, uparcie dąży dalej, póki nie rozwiąże tajemnicy.

Podział na śmiertelnych i nieśmiertelnych nie jest niczym nowym. Nowością, tak bardzo pożądaną ostatnimi czasy, jest pojawienie się nowego rodzaju istoty obdarzonej nadprzyrodzonymi umiejętnościami, mianowicie, sukuba. Nie zabra-

kło tu wampirów ani demonów, ale sposób w jaki Richelle Mead opisała tę nową rasę jest bardzo przekonujący i barwny. Georgina, mimo że jest przedstawicielką zła, to postać bardzo złożona i dopracowana. Jej charakter niemal przesiąka przez karty książki, sprawia, że naprawdę można się z nią utożsamiać i zrozumieć jej, nieraz tak chaotyczne, postępowanie. Pozostali bohaterowie są zróżnicowani i również interesujący. Chłopięcy Seth od razu trafia do serca, a męski Roman mógłby uchodzić za symbol seksu. Nie tylko postacie są bardzo dopracowane. Fabuła jest złożona, choć mniej więcej w połowie książki można zacząć zastanawiać się nad tożsamością mordercy i jest duża szansa, że się odgadnie. Mimo wszystko, zakończenie jest zaskakujące i daje nadzieję na świetne następne tomy. Swoją drogą, w Polsce wydano ich już pięć, więc na pewno będzie co czytać. A lektura tej książki była naprawdę przyjemna, ze względu na żywy styl, który sprawia, że czytało się ją bardzo szybko.

W pewnym momencie fabuła niebezpiecznie zaczęła mi przypominać ostatni tom przygód Mercedes Thompson, autorstwa Patricii Briggs. Powtarzają się wątki morderstwa wśród „nieśmiertelnych”, czy też „zmiennokształtnych” oraz całe to śledztwo głównej bohaterki, naprzekór wszystkim. Akurat w tym wypadku jednak, jeśli już ktoś od kogoś zżynał to jednak „Pocałunek Żelaza” Briggs został wydany już po „Melancholii sukuba”. Z innych ciekawostek, wiedzieliście, że „Melancholia sukuba” w oryginale to „Succubus Blues”? Tłumaczenie na miarę, może nie „Szklanej pułapki”, ale np. „Siły strachu”.

Wśród natłoku książek o nadzwyczajnych istotach, wampirach, wilkołakach, etc., trudno znaleźć prawdziwą perełkę. Z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że „Melancholia sukuba” zasługuje na miano książki wyróżniającej się w tłumie. Jeśli chcecie odpocząć od natłoku schematycznych powieści, a jednocześnie zostać przy paranormalnej fantastyce, jest to definitywnie pozycja dla Was.

Harry Potter i Insignia Śmierci cz. 2

Katarzyna „Immora” Pietraszko



Dla każdego Potteromaniaka naszedł kres pewnej ery. Ostatnia część ostatniego filmu na podstawie ostatniej książki. *It all ends* – głosi napis na plakatach promujących obraz – to już koniec. Dla niektórych w końcu, inni mieli nadzieję, że ten moment nigdy nie nadejdzie. *Harry Potter i Insignia Śmierci; część II* w reżyserii Davida Yatesa w imponujący sposób kończy serię zapoczątkowaną w 1997 roku przez J.K. Rowling.

Harry Potter był ze mną niemalże od początku, kiedy pierwsza powieść została wydana w Polsce przez Media Rodzina. Dorastałam z nim i w jego świecie, czytając każdą książkę po 6-7 razy, bawiąc się w Hogwart, zgłębiając fan fiction, gdy powieści przestały wystarczać. Za ekranizacją nigdy nie przepadałam, wydawała mi się dziecinna. Musicie się ze mną jednak zgodzić, że od pewnego czasu filmy te były mroczniejsze, doroślejsze, po prostu lepsze. Pierwsza część *Insigniów...* zachwycała mnie swoim rozmachem, świetną animacją i wiernością książce. Nie miałam żadnych obaw, w jaki sposób reżyser zakończy dzieło Rowling. Nie zawiodłam się.

Najmocniejszym punktem filmu jest muzyka. Preraźliwie smutna i melancholijna, wchodząca w odpowiednich momentach i cichnąca w swoim czasie. To głównie jej zasługa, że obraz wywołuje tak silne emocje. Wiele osób nie powstrzymywało swoich łez, choć równie często było nam do śmiechu. Niestety, wybrałam się na premierę z dubbingiem, czego zawsze unikałam. Mimo wszystko nie był on aż tak beznadziejny jak sądziłam. Niektóre teksty na pewno lepiej

brzmiały po angielsku, polskie tłumaczenia były po prostu zabawne. Niedopasowane głosy do postaci to stała wada naszego dubbingu, jednak stoi on na całkiem przyzwoitym poziomie.

Jeśli Daniel Radcliffe kiedyś był sztywny, dawno mu to przeszło. Młodzi aktorzy, ale także ci starsi, nie zawodzą. Wcielają się w role w zadziwiającym stylu. Jak wie każdy, kto czytał książkę, w jej drugiej połowie główną postacią jest Severus Snape. Alan Rickman to urodzony Mistrz Elikksirów i świetnie poradził sobie w tak trudnej roli, pierwszy raz grając tak dużo. Wielu innych bohaterów schodzi na drugi plan, ale powiedzmy sobie szczerze – to Harry Potter i Voldemort napędzają akcję, a ich odtwórcy doskonale wywiązali się z postawionych im zadań.

Co do wierności książce – nie mogę nic zarzucić. „Latanie” Śmierciożerców wprowadzono w filmach z serii dawno temu i reżyser mocno się tego trzyma. Parę dodatkowych scen z tym właśnie „lataniem” w roli głównej nie zaszkodziło, a tylko dodało filmowi szybkości. Efekty specjalne stoją tu na bardzo wysokim poziomie. Podróż z zawrotną prędkością, niczym na rollercoasterze, podziemiami Gringotta jest elektryzująca, a walki w Hogwarcie poprowadzone są z rozmachem i zostawiają po sobie zgliszcza. Sceny akcji równoważą wolniejsze, bardziej przeżądane momenty, jednak niczego nie wydaje się być za wiele. Jedynym, co może niektórych odrzucić (uwaga, tu może być mały spoiler), jest epilog, którego nie uniknięto w filmie. Sztucznie i nie do końca wiarygodnie postarzeni aktorzy, przesłodzone dzieci... Ale to przecież już koniec, już więcej nie będzie Harry’ego Pottera. Dlatego samo zakończenie to kolejna sposobność do płaczu.

Dla każdego Potteromaniaka nadszedł kres pewnej ery.

Nie bójmy się łez. Skończmy naszą przygodę ze światem magii w wielkim stylu.

Żegnaj, Harry Potterze.

Neil Gaiman: *Gwiazdka z nieba*

Anna Nawrot

(więcej recenzji autorki na blogu: anek7.blogspot.com)



Jeżeli kiedyś w letnią noc będziecie patrzeć w niebo, to może uda się Wam zobaczyć spadającą gwiazdę. Tradycja głosi, że widząc taką gwiazdę należy w myślach wypowiedzieć życzenie, a z pewnością się ono spełni. Pewnie też, przynajmniej raz w życiu, kiedy byliście zakochani, obiecywaliście przynieść najdroższej osobie gwiazdkę z nieba lub też to Wam drogie Panie ktoś taką gwiazdkę obiecywał....

A czy zastanawialiście się kiedykolwiek jak czuje się gwiazdka, kiedy już zdarzy jej się bliiski kontakt z naszym światem? Jedną z możliwych odpowiedzi na takie pytanie można znaleźć w książce Neila Gaimana *Gwiazdny pył*.

Oto pewnego wieczora gwiazda imieniem Yvaine zostaje dosyć brutalnie strącona z nieba na ziemię. Spadając, łamie sobie swoją gwiazd-

ną nóżkę, ale jak się niedługo okaże, jest to najmniejszy z jej problemów. Tego samego wieczoru pewien zakochany chłopiec obiecuje przynieść swojej wybrance gwiazdkę z nieba (nie wiem czy świadczy to o sile jego uczucia czy o... głupocie po prostu) i rzeczywiście udaje się na poszukiwania owej gwiazdy. Zadanie ma nieco ułatwione, gdyż jego wioskę od krainy czarów dzieli tylko niewielki kamienny mur, ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że podróż na drugą stronę tego muru może być dla niego drogą bez powrotu. Dzięki sprzyjającym okolicznościom w krótkim czasie dochodzi do spotkania Tristrana z Yvaine, ale gwiazda wyraźnie nie ma ochoty być prezentem dla ukochanej chłopca, co więcej, wyraż-

nie go nie lubi. Obydwoje jednak szybko się przekonają, że tylko jeżeli będą działać razem, mają szansę na uratowanie życia. Bowiem tropem gwiazdy podąża władczyni czarownic, która chce zdobyć jej serce, potrzebne do stworzenia magicznego proszku przywracającego młodość oraz, mniej lub bardziej żywi, synowie ostatniego władcy Cytadeli Burz – gwiazda ma bowiem pewien czarodziejski klejnot, który ma wskazać nowego króla.

Neil Gaiman stworzył przepiękny baśniowy świat, bohaterów odbiegających od stereotypów, ciekawie zarysował akcję i... w moim odczuciu w pewnej chwili to wszystko przestało go bawić. Książka, która świetnie się zaczyna, przyciąga uwagę, ma ogromny potencjał, aby konkurować z najbardziej znanymi dziełami fantasy, w jednej chwili traci impet i truchcikiem zbliża się do zakończenia. A i to zakończenie jest praktycznie pozbawione dramaturgii i trochę nijakie.

W 2008 roku powstał film pod tym samym tytułem. Jest to luźna adaptacja książki. Niestety nie widziałam go, a szkoda, bo już nazwiska Michelle Pfeiffer, Ruperta Everetta i Roberta de Niro, grających w tym filmie role drugoplanowe, mówią same za siebie. Mam nadzieję, że uda mi się kiedyś obejrzeć ten film, tym bardziej, że znajomi którzy zapoznali się i z filmem i z książką, niemal jednogłośnie twierdzą, że jak rzadko się zdarza: film od książki jest lepszy.

Pomimo wszystko jednak zachęcam do sięgnięcia po tę książkę. Ja przynajmniej dałam się oczarować wyobraźni pana Gaimana i z pewnością jeszcze zajrzę do jego kolejnych opowieści. A wszystkie krytyczne uwagi wynikają z tego, że za mało mi było tej wspaniałej lektury.

I tylko się zastanawiam, drogie Panie, jakbyśmy zareagowały gdyby nasz ukończony rzeczywistość dał nam w prezencie taką atrakcyjną gwiazdę? Czy aby nie czułybyśmy się nieco zagrożone? Na szczęście nie wszystkie życzenia i obietnice się spełniają...

Farmazonki

Alf Soczyński

(opowiadanie ze zbioru *SUAZI*, Wyd. My Book 2010)

Wracając do domu pociągami z Liceum w Chełmży, po około godzinie jazdy, na budynku stacji widział napis – PŁUŻNICA. Był to znak, że na następnej stacji trzeba wysiadać.

Od Płużnicy popularna bana zazwyczaj rwała przed siebie, niczym spłoszony czymś rumak. Musiała bowiem na tym niewielkim odcinku pokonać magiczne tereny dawnych farmazonek, na których, jak opowiadała stara Weronka, od niepamiętnych czasów nocami rozgrywały się, niekiedy zabawne, czasem pouczające, ale najczęściej jednak straszne sceny, zwłaszcza w porze północy. Niektóre z tych podniebnych przedstawień stanowiły jakby przedłużenie, albo raczej przeniesienie w inny wymiar, codziennych dziejów ich bliższego i dalszego świata.

Gdy mieszkańcy okolicznych miejscowości pogrążeni byli w głębokim śnie, na ziemi i tuż nad ziemią pojawiały się przylatujące z księżycą i gwiazd oraz ich okolic, liczne pojazdy – bryczki i karety, pełne tajemniczych postaci; czasami byli to pojedynczy jeźdźcy na koniach albo innych zwierzętach. Jedne postaci z czasem ginęły, a na ich miejsce pojawiały się inne, jak w kalejdoskopie.

Na niebie zaczynało się jakieś wielkie przedstawienie. Czasami przyjmowało ono postać straszliwej bitwy, kiedy indziej, barwnego, niezwykle bogatego w swej różnorodności i dramatyzmie barwnego pokazu. Niekiedy były to jakby konfrontacje różnych kultur, pochodzących z różnych czasów, od starożytnego Babilonu po współczesny Nowy Jork, od Indii, Chin, Japonii, Syberii, Islandii czy Grenlandii, po Australię czy Europę.

Obok ludzi występowały tam także zwierzęta. Nie tylko miejscowe, takie jak sarny, lisy, dzikie króliki, zające, bociany czy kuropatwy, ale pojawiały się także nocami lwy, lamparty, niedźwiedzie, wielkie węże i słonie, a także najrozmaitsze postaci dinozaurów. To właśnie w tych stronach, do których w wieku pięciu lat Olo przybył po wojnie z Wołynia, w których ukończył szkołę podstawową, istnia-

ło wtedy coś w rodzaju tajemniczego przejścia pomiędzy różnymi światami, w normalnych warunkach oddzielonymi od siebie jakby nieprzebytym murem.

Powietrze na tym rozległym i tajemniczym odludziu było gęste od oparów okolicznych bagien. Pagórki i wąwozy, porośnięte krzewami, wodorostami, bujnym zieleń i wysokimi chwastami, kryły liczne zwierzęta. Nad tymi polami leżącymi pomiędzy Płużnicą a Wielkądziem, pojawiały się także latające skrzydlate węże i wielkie owady, podobne do ważek. Rozlegały się echa prowadzonych rozmów i okrzyki w wielu językach świata, padały jakieś rozkazy, czasami zaklęcia, czy nawet straszne przekleństwa.

Tu, pomiędzy Płużnicą, a Wielkądziem, istniał jakby kosmiczny mur oddzielający różne i niemieszające się ze sobą w normalnych warunkach światy. Powstawały pęknięcia czy przerwy, przez które postaci z różnych światów mogły się przenikać i spotykać. Było to w jego dzieciństwie jedyne miejsce, gdzie spotykali się żywi i umarli, bogowie i ludzie, duchy i bezduszne istoty, ziemia i inne planety oraz gwiazdy. Tu czas istniał inaczej, zjawiska, osoby i rzeczy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, mogły tu istnieć równocześnie, porozumiewać się, konfrontować ze sobą, zamieniać jedno w drugie, czyli przyjmować różne, dynamiczne postaci.

Świat legend i baśni mieszał się tutaj ze światem zgrzebnej, pełnej codziennego trudu codzienności.



W uszach Alfa tamte zapomniane z czasem nazwy brzmią jak czarodziejskie zaklęcia – Bielczyny, Skąpe, Dziemiony, Grzegorz, Bocien, Zelgno, Orłowo, Płużnica, Wieldzadz, Mgowo. A są to miejscowości na trasie jego dawnych przejazdów nieśpieszną, ale niezawodną ciuchcią z Chełmży do Mełna.

Gdy zabrakło wysłużonej bany, umęczonej i powolnej zwłaszcza podczas jesiennych przewozów buraków cukrowych, nie ma już możliwości dokładnego powtórzenia tamtej barwnej i magicznej w jego wspomnieniach trasy.

Alf wspominając minione czasy, chwilami myśli:

– Ludzie dzisiejsi nie mogą wziąć udziału w tamtych podniebnych seansach, gdyż wieczorami siedzą w swoich domach przed szklanymi okienkami telewizorów, a nocami boją się spotkania z czarodziejską kulą nieba, rozpostartą nad nimi. Dlatego bardzo się zmienili, stali się twardzi i coraz trudniej im wejść do bajki.

Los z potarganym włosiem

Krystyna Habrat

Z wieczora przeraźliwa igielka od zęba zaczęła podstępnie wwierać się w mą świadomość. Ból jeszcze nie był wyraźny. Zanikał, ilekroć skupiałam na nim uwagę, ale ząb jakby nabrzmiewał. Coś wokół niego narastało, niepokoiło. Zażyłam na wszelki wypadek tabletkę, a rano zatelefonowałam do gabinetu dentysty. Telefon odebrała pielęgniarka. Długo się certowała. W końcu łaskawym tonem wyraziła zgodę, żebym przyszła po południu.

Kiedy się zjawiłam, w poczekalni siedziało zaledwie pięć osób. Usiadłam ostatnia w rzędzie krzeseł, jak wskazywała kolejka, i wyciągnęłam książkę do czytania. Niedługo dane mi było skupić się na lekturze, bo szybko zapadł zmierzch, a poczekalnię rozjaśniały jedynie trzy podłużne jarzeniówki, uczipione wysoko sufitu. Z pozostałych zwisały druty. Nachylałam książkę w stronę wątego blasku. Nie znoszę pustego czekania. Wolę marnować oczy niż życie.

Podnosiłam wzrok na każdy ruch w poczekalni. Z dwóch stron dochodziły do niej korytarze, co przypominało fragment układu trawiennego, gdzie poczekalnia stanowiła wątrobę. Brakowało tylko porządku w dopływie z korytarzy nowych pacjentów. Przybywali raz z prawa, raz z lewa i zajmowali kolejne krzesła. Wcześniejsi drzemali z otwartymi oczami. Czasem zamieniali szeptem kilka słów i ci-chli.

Koło drzwi gabinetu dentysty zaczął krążyć, jak uparta osa, mężczyzna o wyglądzie cierpiącego na wrzód żołądka. Pielęgniarka uchyliła drzwi i skinęła na niego. Wszyscy oniemieli. Przyszedł najpóźniej, a już go wezwano?!

Niewidoczny, bo za ścianą, lewy korytarz wypełnił się nagle trzaskiem kroków. Ktoś zbliżał się energicznie. Z tym głośnym werblem wtargnęła wielka i gruba niewiasta z niemodnym kokiem na głowie. Za rękę trzymała małego chłopca. Nie spojrzała na czekających. Kierowała się prosto na gabinet. Otworzyła ostrożnie drzwi i z progu wykrzyknęła gromkie: dzień dobry. Zachwiała się, jakby do odwrotu, ale widocznie zachęcona weszła tam. Inni czekali dalej. Mężczyzna wezwany bez kolejki wymknął się stamtąd po półgodzinie chyłkiem i nie

patrząc nikomu w oczy, zniknęła. Olbrzymka z wnuczkiem okupowała gabinet dobrą godzinę. Przez ten czas nagromadziło się czekających. Krążyli niecierpliwie pod drzwiami. Udawali, że nie dostrzegają kolejki w rzędzie krzeseł. Czatowali u progu gabinetu i zaglądali natarczywie głodnym wzrokiem, ile razy pojawiła się tam smuga światła. Najbardziej nerwowo podrygiwał niski mężczyzna, choć dopiero co się pojawił. Kręcił się tam i z powrotem. Wywijał uwieszoną u ręki szetkę. Podrywał się i wyciągał szyję ponad innych na widok pielęgniarki wysuwającej czubek głowy. Wreszcie ukazała się cała. Była chuda, szara, a na głowie sterczały jej w nieładzie kosmyki trwałe. Krytycznym okiem zlustrowała przedpole. Podbiegali ku niej i ci z kolejki. Zaczęli protestować, że przyjmuje innych bez ładu i składu. Wszyscy, jeden przez drugiego, dopytywali, kiedy będą przyjęci. Niektórzy przybierali groźny ton.

– Czekać! – orzekła wspaniałomyślnie.

– Czekać, czekać – powtarzała każdemu.

Sama zaniepokojona zaczęłam się dopytywać. Pomimo telefonicznego uzgodnienia, nie byłam na dziś zapisana. Niby ból zęba był powodem wystarczającym do przyjęcia, ale tu wszystko się kręciło. Ci bez kolejki panoszyli się beczelnie. Sprawy zdawały się przybierać zły obrót.

– Czekać! – usłyszałam w odpowiedzi i białe drzwi się zamknęły.

Schowałam książkę. Zrobiło się zbyt ciemno. Jarzeniówki białały księżycowo. Ze spódnicy siedzącej obok dziewczyny rozbiegły się malowane fioletowe pawie. Zapatrzyłam się w nie, jak rozkładały wachlarze ogonów, to znów ciągnęły je za sobą, niczym tren. I wielokrotnie majestatycznie spojrzeniami nieprawdziwych ogonich oczu.

Traciłam tak poczucie rzeczywistości, pogrążone doszczętnie w bezsensie neurozy czekania. Zabrakło mi nawet ochoty do rozmowy. Z rezygnacją patrzyłam, jak pielęgniarka wychyla się zza drzwi i nie zważając na kolejność wskazuje palcem upatrzoną osobę. Niski pan dawno już sobie poszedł załatwiony. Podobnie inni, uśmiechnięci znacząco do pielęgniarki. Czekający, dotąd potulni, zaczęli coraz głośniejszemu szumieć o bałaganie i niesprawiedliwości. Byli to pewnie ludzie cisi i nieśmiali, przyzwyczajeni do pokornego wyczekiwania nieraz pod czyimiś

drzwiami. Dlatego długo znosili to, co dziś się tu działo, ale w końcu przekroczyło to granice ich wytrzymałości. Protest nabierał siły.

- Wszędzie bywają uprzywilejowani! – wykrzykiwano.
- Te przywileje doprowadziły kiedyś kraj do zguby.
- Najwyższy czas z tym skończyć!

Wszyscy teraz napierali na drzwi, bo stamtąd pielęgniarka wybierała najczęściej. Na widok ich zwartego kręgu wrzasnęła:

- Co jest?! Odsunąć się! I czekać!

Skrzywiona groźnie zmieniała po chwili grymas w coś przypominającego uśmiech, adresowany do kogoś tam w tłumie. Domyślano się zaraz, kto następny przekroczy wymarzone drzwi. Pominęci zmuszeni zostali do odwrotu. Niektórzy pozostali, trzymając twarz w pogotowiu na przypochlebny uśmiech, gdy tylko biała postać w drzwiach się pojawi. Inni zniechęceni opadli ciężko w rząd krzeseł. Usiadłam i ja, ale nie mogłam usiedzieć. Szarpało mną zdenerwowanie.

Nagle irracjonalna sytuacja w mrocznej poczekalni wydała mi się sceną z jakiejś przypowieści. Pielęgniarka z potarganą fryzurą była tu Losiem. Decydowała, co się z kim stanie. Od niej wszystko tu zależało. Wybierała zatem według swojego widzimisię i grała ważniarę. A niewidoczna jeszcze z poczekalni dentystka była Spełnieniem. Ale załatwiała tych, których podsuwała jej Los.

Czekać. Czekać! – pokrzykiwała Los, wybierając sobie następnych całkiem bez sensu.

Nienawidzę czekania. Nie tylko dlatego, że marnuje się tak bezowocnie czas, zamiast wykorzystać go mądrzej. Niedowierzam tej mądrości Wschodu, zapewniającej, że do tego, co potrafi czekać wszystko przyjdzie na czas. Przecież gdybym już została przyjeta, skończyłby się ćmiący na nowo ból zęba. Piłabym już w domu herbatę, kończąc zaczęta tu lekturę.

Zawsze byłam straszliwie niecierpliwa. Niejedno przez to zniszczyłam, ale też pewnie dlatego, bywam, jak na złość, skazana na dłuższe oczekiwania niż inni. Napisałam nawet opowiadanie o rodzącej się w beznadziejnym czekaniu neurozie. Pochwalił je pewien autorytet, lecz do druku wskazał inne. Natomiast drugi

orzekł, iż czekać tak to nielogiczne, lepiej działać. Pierwszy nie mówił tak autorytatywnie, a ten jeszcze młody. Obce mu pewnie neurasteniczne nastroje i ma zdrowe zęby, skoro nie zaznał męczarni poczekalnianych. Gdyby był na takowe kiedy skazany, rozumiałby czekanie. Ciekawe, co by mi na moje czekanie doradził. Czy zamiast wyczekiwać w nieskończoność obiecanego druku, recenzji, odpowiedzi, mam rzucić pisanie? Ale rezygnacja jest przeciwieństwem działania.

I w poczekalni dentysty muszę dziś czekać, bo nie byłam wpisana wcześniej do książki pielęgniarce. A czy w życiu zostałam umieszczona w Księgach Talentów? Gdyby to wiedzieć...

Tutaj, jak zdobędę się na cierpliwość, panna Los wpuści mnie wreszcie przed oblicza Spełnienia z wiertarką. I naniesie moje nazwisko w swą księgę, lecz kto ma pieczę nad Księgą Talentów? I czego Mu trzeba?

Siedząca obok mnie dziewczyna zastygła w rezygnacji z głową pochyloną nad spódnicą z pawiami. Patrzyły złośliwie tysiącami oczu. Nieprzystępne i dumne. Nagle w senność wdarł się krzyk:

- Tego już za wiele! – krzyczała kobieta, przybyła długo po mnie. – My czekamy, a pani wybiera sobie kogo chce!
- Pokazuje tak swą władzę – uzupełnił ktoś inny.
- No, komu się za bardzo śpieszy, wejdzie ostatni – wyseplenila zjadliwie Los.
- Wariatka! – odkrzyknęto.
- Skandal! Nonsens!

Ja milczałam. Wykrzywiłam się tylko porozumiewawczo do pawi. Te, nierealne, wiedziały pewnie, że Los nie może być sprawiedliwy. Przecież jego jedyną logiką jest złośliwa przewrotność! Mówi się nawet, że portki dostaje ten, kto nie ma już siedzenia. I starannie obkutych uczniów, kiedy zależy mu na najlepszym stopniu, dostaje gorszy niż zwykle, bo akurat przejęty tym płacze się przy odpowiedzi i zapomina. Wszystko jak na złość. I kto kocha za bardzo, podobno zwykle przegrywa. Nawet w Biblii powiedziane, że ostatni będą pierwszymi. Kto ma będzie mu dodane, a kto nie ma będzie mu zabrane. A bogaczowi z przysłowia byk się cieli, gdy biedny dostaje wszędzie po zębach.

Tutejsza Los powiedziała też coś w tym sensie: komu się za bardzo śpieszy, wejdzie ostatni.

Nauka zna dobrze to prawo paradoksu. Dwa mówiące o tym zwą się prawami Yerkese-Dodsona. Tylko nie trąbi się o tym zanadto. Przestano by wówczas marzyć, starać się, może pisać wiersze i kochać. Wszystko zniweczyłaby rozsądna obojętność.

Zatem przekorny los jest po prostu wariatem. Zwariowany jak ta tutaj, co w tym momencie cofa się zatrwożona pod naporem protestującego tłumu w poczekalni. Próbuje skryć się za drzwi, ale ktoś wkłada w szparę nogę. Dalej więc się wyzywają, przepychają, wrzeszczą, potrącają.

– Czas zrobić z tym porządek! – fruwają postulaty.

– Musi być jakaś sprawiedliwość.

– Weźmy się za nich! No, dalej... Precz stąd, głupia.

Na ten rwetes wychyla się z gabinetu Spełnienie. Nieziemska. Wysoka i piękna. W rękę trzyma kleszcze.

– Proszę się uspokoić – mówi niegłośnie, lecz stanowczo. To natychmiast skutkuje. Odsuwają się. Ich bunt był jedynie wyrazem rozpacz. A zarazem przegraną, bo odtąd nie mają tu na co czekać, Los weźmie odwet. Odchodzą więc. Jedni z podniesioną głową. Dopiekli tej babie ile wlezie. Inni cofają się w pełni rezygnacji. Reszta poddaje się dalszej niewoli czekania. Ja z nimi, przekonana, że los nie ma logiki. Musi być niesprawiedliwy, bo jest wariatem. Dlatego też nie udało mi się napisać naprawdę dobrego opowiadania. Szkoda marzyć.



Ciepło

Nadia K.

Biorę z kuchni kubek z białą herbatą z dodatkiem malin i dzikiej róży. Pachnie w całym domu. Pachnie ciepłem. Uśmiecham się na samą myśl o letnich popołudniach na ławce w Dolince Służewieckiej. Siedzimy z Piotrkim, stykając się ramionami. Nic nie mówimy. Niczego nie robimy. Czasem tylko trącamy się łokciem pod zebra. Śmiech. On trzyma w dłoni wypieczonego precla. Aromat sprawia, że żałuję, że najpierw zabrałam się za wczorajszą kajzerkę. Piotrek odwraca głowę. Próbuje mu podkraść pachnący wypiek. Nie udaje mi się. Piotr ma za długie ramiona. Prawie dwumetrowy facet z rękoma jak spaghetti. Mówi, że mam swojego. Że on też lubi precle. Wystawiamy twarze do słońca. Promienie otulają nasze ciała. Porównujemy, kto bardziej opalony. Trochę ja. Moja skóra kocha słońce jak zmęczony wędrowiec łóżko.

Świeżo zaparzona herbata to nie to samo, co słońce nad ławką, ale na razie musi wystarczyć. Przyszystaję w salonie wypełnionym afrykańskimi ozdobami. I bursztynowym światłem z bocznej lampy. Jestem sama. Mówię szeptem – już niedługo. Już zaczął się maj.

Do biurka mam cztery kroki. Zostawiam za plecami tunezyjskie wielbłądy, haitańskie maski i kaktusy. Całe mnóstwo kaktusów. Na parapecie, na półkach, na telewizorze, na podłodze. Wysokie, niskie i mięsiste z drobnymi jak mech kolcami.

W ostatnim pokoju pali się ostre światło. Tu się pracuje. Tutaj trzeba się skupić. Tu ściany są zimne, błękitne. Nad biurkiem wisi prosta grafika. Książki ustawione poza zasięgiem wzroku. Tu nic nie może mnie rozpraszać.

Stawiam na biurku herbatę. Dotykam myszki. Laptop rozświecła się na szmaragdowo. Jest grubo po północy. Zarywam trzecią noc z rzędu, ale muszę przerzucić wszystkie dane ze starego laptopa na nowy. Ten stary działa już ostatkiem sił. Właściwie Piotrek musiał go reanimować. Przenoszę zapis pięciu lat życia. Utrwalonego w dokumentach, na filmach, fotografiach. Trzeba szybko, zanim stary system pozamyka ostatnie karty.

Nowy laptop jest imponujący. Czarny, lśniący, bez śladu kurzu. Klawisze wciskają się pod muśnięciem palcami. Przekładam pen drajwy z danymi z jednego laptopa do drugiego. Jestem czujna. Koncentruję się. Nie mogę niczego utracić.

Wideo z turnieju w Suchedniowie. Przed oczami maluje mi się obraz naszego finałowego meczu. Ostatnie spotkanie tego dnia. Spośród siedmiu kortów zajęty jest tylko jeden. Ten centralny. Pozostali zawodnicy, już dawno poprzebierani, siedzą na trybunach. W oczekiwaniu na wręczenie pucharów, przyglądają się jak z Tamarą nokautujemy miejscowe przeciwniczki. Świadomość skupionych na nas kilkudziesięciu par oczu dodaje skrzydeł. Gramy mecz życia. Tamara ma siłę, choć jest taka mała. Kręci się gdzieś pod nogami. Czy mi to przeszkadza? Nie, ona atakuje jak Emilia Plater. Akcja, a po akcji głośnie brawa i okrzyki. – To moja przyjaciółka! – chcę zawołać. Ale milczę, żeby woda sodowa nie uderzyła jej do głowy. Jak ta dziewczyna to robi? Nie ma czasu na myślenie. Przybijam z nią mocno piątkę. Unoszę do góry kciuk. Niech wie, że w pełni jej ufam. Że ma ode mnie zielone światło.

Ja jestem sprytna na siatce. Przy moich akcjach publiczność zamiera i głośno wypuszcza powietrze, gdy lotka przetacza się chwiejnie po taśmie. Ląduje w miejscu, które rozciągnięta na macie przeciwniczka może jedynie odprowadzić wzrokiem. Pełna kontrola. Tamara o tym wie. Dlatego jestem przy siatce. Potem stajemy na najwyższym miejscu podium. Szerokie uśmiechy wychodzą z kadru. Ręce jakoś same unoszą się do góry i prezentują złociste puchary.

Wszystkie stoją teraz obok książek. Rozparta na krześle przed biurkiem, chwytam bezwiednie kubek, by upić łyk herbaty. Zauważam, że sama uśmiecham się od ucha do ucha. Ciepły napój rozlewa się po całym ciele. Obracam kubek w dłoniach. Spoglądam na nadrukowaną na nim fotografię. Ja i mój pies Grisza. Władysławowo 2007. Bezchmurny dzień. Piotrek jeszcze wtedy nie istnieje. Idziemy deptakiem. Ja z przodu z Griszą. Mama i tata z tyłu. Nie słyszę, o czym rozmawiają. Jestem zajęta droczeniem się z moim czarno-białym przyjacielem. Mamy takie same niebieskie oczy. Właściwie mamy identyczne spojrzenie. Trochę spode łba, trochę złowrogie, ale nieszkodliwe. Jesteśmy jak rodzeństwo. Zawsze trzymamy się razem. Chociaż Grisza jest trochę takim odludkiem. Serio? A niby ja jestem lwem salonowym? Ale uwielbiamy swoje towarzystwo.

Jak to możliwe, gdy jesteśmy samotnikami? Tak jak wtedy, gdy rozkładałam na działce koc. W samym słońcu, gdzie nikogo oprócz mnie nie ciągnie. Grisza siedzi w kącie, w cieniu, ale chyba tęskni, bo od czasu do czasu podchodzi do mnie, a właściwie przechodzi mi prosto po brzuchu, nadeptnie przy okazji na nogę, liź nie mimochodem po buzi i znika, zanim zdążę go pogłaskać. Patrzę, jak siedzi taki wyprostowany, majestatyczny. Jak grecki posąg.

Teraz na deptaku we Władysławowie Grisza kroczy dumnie i udaje, że nie zwraca na mnie uwagi. Nie ze mną te numery. Dostrzegam, jak wykręca w moją stronę uszy, gdy tylko się odezwę. Czasem oplata mi smyczą kolana.



Stajemy przed straganem z pamiątkami. Sprzedawca chce nam zrobić zdjęcie i nadrukować na pocztówkę, koszulkę albo kubek. – Ale kicz – myślę, ale usta się buntują i rozciągają w uśmiechu. Odwracam się do mamy. Ona już wie, o co chodzi.

– O rany! Ja chcę mieć taki kubek z Griszą! – łapię mamę za rękaw i pokazuję palcem jak dziecko. Zaraz jednak się otrząsam. Poważnieję. – Żartowałam. Dwudziestopięcioletnia kobieta i takie pomysły!

– No co ty, Karola! Zrób sobie. Jesteśmy na wakacjach. Ojciec ci zafunduje.

Taka jest moja mama. Potrafi czytać w myślach. Albo doskonale odszyfrowywać pragnienia.

– A niech to! Przekonałaś mnie, do diaska – stwierdzam nonszalancko.

Z maskowanym zażenowaniem zajmuję miejsce przed obiektywem, rozglądając się, czy nie mija nas akurat zbyt wielu turystów. Za plecami mamy z Griszą malunek fal morskich pędzla lichego debiutanta. Kucam tuż za moim przyjacielem. On siada po swojemu. Dumnie. Otwarty pysk. Jesteśmy prawie równego wzrostu.

Błysk aparatu. Obróbka na komputerze i wypreżamy się z Griszą na nowym kubku. Ja i mój przyjaciel pies.

Ja i Grisza. Wpatruje się we mnie swoimi niebieskimi ślepiami. Herbata już wystygła, a ja siedzę z garnuszkiem w uniesionej dłoni. Spoglądamy na siebie z bliska. Ja w błękitnym pokoju do pracy, on na kubku Władysławowo 2007. Samochody stanęły. Czas się zatrzymał. Film z Suchedniowa dawno skopiowany. Wygaszacz ekranu przepływa lazurowymi falami. Herbata w kubku drży. Powieki zamykają się i otwierają, jak gdyby coś wpadło mi do oka.

– Brakuje mi ciebie, dzieciaku.

Wiatrak laptopa to jedyny dźwięk. Gaszę komputer. Jutro dokończę.

Kiedyś nadejdzie jutro

Adrian Świderski

(fragment powstającej książki)



Kolejny pocisk świsnął mu nad głową. I jeszcze jeden. Huk wybuchu rozniósł się po okopie. Tym razem uderzyło gdzieś blisko, coraz celniej ich namierzali. W oddali wraz z kolejnymi tąpnięciami zlewały się echa kroków tysięcy. Armia Imperium Bogów nieubłaganie dobijała do ich granic. Szła na nich i była tak blisko, że mógł to poczuć w trzewiach. Znow zrobiło mu się nie-

dobrze. Znow coś rąbnęło z tyłu. Kilka metrów i byłoby po nich. Okop zatrząsł się w posadach, ziemia posypała na głowy. Poczul popiół w ustach i krew. Kolejne fale mdłości zlewały się ze smakiem śmierci.

Rozejrzał się niepewnie dookoła, chociaż doskonale wiedział, co czai się na krańcach jego wzroku. Zwłoki, ciała, korpusy i szczątki kończyn. Wszędzie śmierć i zagłada.

Armia Imperium Bogów nie znała litości, nie była humanitarna. Niszczyła wszystko, co spotkała na swojej drodze, każdą linię oporu.

Pytał sam siebie, po co brał udział w tej wojnie? Przecież nie była jego. Był najemnikiem, bez przyszłości i przeszłości, i nie musiał za to płacić swoją głową. A jednak... Jednak to zrobił. Poszedł za nim i zgodził się na to wszystko. Teraz ciało Azahiel leżało koło niego. Azahiel był martwy. Przynajmniej pozornie martwy... A może Demony nie umierały?

On nadal walczył. Był człowiekiem pośród starcia tytanów, który został oczarowany i oszukany przez diabła. Wiedział, że umrze. Nie miał przecież w sobie

Boskiej Woli, nie miał błogosławieństwa Imperatora ani daru Upadłych. Był pyłem, kruchym pyłem...

Kolejny pocisk, który jak piorun przeleciał koło jego ucha i wbił się w przeciwną ścianę, otrzeźwił mężczyznę. Wzdrygnął nim strach i złość. Zmusił się by popatrzeć przez wykusz. Widział teraz kłęby popiołu. Ziemia falowała coraz bardziej, niosąc drgania i siłę wybuchu. Armia była kilkanaście metrów od nich i niedługo wejdzie w pole ich widzenia. A potem? Potem nastanie dla niego śmierć i spokój. Nie... Nie pójdzie do Nieba. Pójdzie do Piekła i tam odrodzi się w ciele Demona, tak by wrócić na to cholerne pole bitwy i pomścić jego śmierć. Bo tego by chciał Azahiel. Chciałby by walczył o lepsze jutro, dla nich. Dla Upadłych. Bo kiedyś nadejdzie jutro... Kiedyś się to wszystko skończy.

Poczuł wybuch. Okop zatrzęsł się, a masy ziemi opadły nagle na jego głowę. Zaczęło się.

Otworzył raptownie oczy. Nie podnosił się, bo to groziłoby zawrotami głowy. Leżał tylko nieruchomo, prawie nie oddychał, a czerń przed nim gęstniała jeszcze bardziej. Nieprzystawczajone źrenice nie potrafiły odróżnić ani jednego szczegółu pomieszczenia. To było niepokojące, bo zazwyczaj potrafił widzieć w ciemności perfekcyjnie, niczym kot.

A może nie żył? Może umarł podczas snu albo sen był jawą? Może to była ta nicość po śmierci, o której teraz piała telewizja i prasa? Tylko dlaczego miałby zginąć? Wiedział, że śniło mu się coś niespokojnego, bo obudził się cały spocony, roztrzęsiony.

Nie lubił snów. Nienawidził. Zwłaszcza tych, których nie pamiętał. To oznaczało, że zaczynał myśleć i trawić, a jemu nie było wolno ani jednego, ani drugiego.

Podniósł się powoli, wprawiając pomału swoje ciało w ruch. Wiedział, że nie ma na to czasu, ale inaczej ciężko mu było przyzwyczaić się do rzeczywistości. Wszystko wracało do niego po kolei. Jego mięśnie były nadal obolałe po wczorajszej eskapadzie. Członki zeszywniały, zmysły oziębiały. Zastał się, bo uległ zmęczeniu i gdy tylko przybiegł do domu, zaległ na łóżko. W czaszce nadal unosił się tępy ból po upadku. Po co gonił tą gnidę po tych pieprzonych dachach, kiedy mógł ją zdybać w tym obleśnym barze, po cichu? Jednak nie... On kochał wy-

zwania, kochał ryzyko i walkę z własnymi słabościami. Wspiął się po murze i przeciął dachy wysokich kamienic, przeskoczył kilka wąskich ulic, spadł w jedną i tam dorwał ofiarę. Chciał ją rozszarpać. Jak zwykle uwolniła się z niego bestia. Powstrzymał ją w ostatniej chwili i zadał szybki cios długim nożem.

Poruszył powoli pacami prawej dłoni. Czucie wracało, a jednak bark był zбитy na sino. To na niego spadł, zmiażdżył żyły, poraził ścięgna. Nie przejmował się. Wiedział, że do wieczora będzie jak nowy.

Teraz musiał się zebrać. Miał jeszcze jedną robotę tego dnia i chciał ją załatwić przed południem.

Wstał energicznie z łóżka i przechodząc parę kroków otworzył drewniane drzwi. Światło korytarza wpłynęło wątlm strumieniem do środka, oblewając nikle żółtawym blaskiem skromne pomieszczenie. Rozlatujące się łóżko bez pościeli stało pod oknem zaklejonym czarnym papierem. Jeden stół z lampką, krzesło i parę rozwalonych ubrań. To było jego mieszkanie od kilku tygodni, paryska rezydencja – jak nazywał ją w myślach. Zwykła nora z karaluchami i szczurami w biednej dzielnicy, która zajął, bo była wolna i nie przyciągała złodziei. Jedyne, co mu przeszkadzało to wieczny odór zwierzęcych odchodów, mimo to jakoś wytrzymał.

Powiódł jeszcze zaspanym wzrokiem po wnętrzu, wyrażenie czegoś szukając. Światło południa wskazało mu jego zgubę i resztę ekwipunku pozostawionego na krześle. Poderwał ze stołu paczkę papierosów, złotą zapalniczkę. Odpalił jednego, leniwe się nim zaciągając i westchnął długo z uznaniem. To był perfekcyjny shit, mocny i dawał po płucach tak jak lubił, a do tego kosztował grosze.

Nie wyjmując papierosa z ust, chwycił dwa długie noże. Stał odbiła na chwile światło, kiedy chował je do długich i wojskowych butów. Zaraz po tym wetknął za pas Barette. Metal broni miło chłodził jego plecy. Nadgarstek ozdobił długi sztylet z samowyzwalaczem uwalnianym przez odpowiedni ruch dłoni. Specjalna uprząż na norze znalazła perfekcyjne ułożenie na mocnych, ale zgrabnych plecach. Zarzucił jeszcze tylko brązową skórę i wyszedł, nawet nie zamykając drzwi na klucz. Po co, kiedy cały majątek miał przy sobie?

Wiatr rozwiewał ludziom włosy. Podmuchał podrywał drobne kosmyki do góry, tarmosił je niszcząc misterne koki i wybrylantowane konstrukcje fryzur napuszonych facetów. Widział każde drgnięcie cieniutkiej nitki, błyszczącej w promie-

niach jesiennego słońca. Wszystko ukazywało się jak w zwolnionym tempie. Śmiejąca się kobieta naprzeciw niego. Druga wolno oblizująca łyżeczkę, na jedenastej. Jakiś facet przywiązujący psa do słupka przy ulicy, na granicy jego wzroku. Te poddmuchy nadawały rytm światu i jego sercu, delikatne i lekko muskające także jego policzki, pokryte trzydniowym zarostem.

Kelnerka przyniosła mu kawę, patrząc się na niego podejrzliwie, jakby myślała że nie zapłaci za zamówienie. Popatrzył się na siebie w przyciemnionej szybie kawiarni. Wraz ze złotymi literami malowało się na niej także jego oblicze. Zmęczone i przekrwione od alkoholu oczy zakrywały teraz przydymione okulary słoneczne. Jego ogorzała twarz, wraz z tym zarostem, zdawała się być brudna. Pewnie śmierdzący tym zatęchłym schowkiem, w którym mieszkał. Czarne włosy ułożyły się w ciężkie fale, nie unosił ich wiatr. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się mył. Był szczęśliwy, że miał wychodek. Smarkuła patrzyła na niego w oczekiwaniu nadal i pewnie teraz błagała, by dał jej chociaż zapłatę. O napiwku już dawno zapomniała.

Potoczył wzrokiem po stoliku. Wiatr podniósł delikatnie serwetkę. Zatrzepotała miękko na wietrze. Słyszał to. Czas płynął teraz wolno, bardzo wolno. Szum samochodu zagłuszył jego ciche słowa:

– Cukier – mruknął, patrząc kelnerce prosto w oczy – Idź po cukier – prawie nakazał.

Dziewczyna zawahała się na jego ton. Chciała coś odpowiedzieć, nawet się oburzyła. Pies szczeknął w oddali. Ktoś zatrąbił i zahamował ostro. W jego głowie i oczach obrazy jeszcze bardziej zwolniły. Ślimacze ruchy ludzi, odbicie w szybie i ruch na metalowym blacie stolika.

Nagle świst przeszył głębszy szum. Powietrze przedarło jakieś ciało. Czuł je już od dawna. Kelnerka nie drgnęła i musiał wstać, pchnąć ją. Poleciała na stół, a on odwrócił się i złapał to, co w niego wycelowano. Ludzie w oburzeniu podnieśli głosy i wszystkie oczy skierowały się na niego. W jego dłoni spoczywała tenisowa piłka o intensywnym zielonym kolorze, ale w pobliżu nie zaobserwował ani jednej osoby, która mogłaby ją rzucić.

– Chryste! Gdyby nie pan, trafiłaby mnie chyba w oko! – usłyszał lekko drżący głos kelnerki. – Jak pan to zrobił, że widział pan co leci z tyłu?

– Nie widziałem – odpowiedział, nadal nie patrząc jej w oczy – Słyszałem.

Opadł na krzesło, poprawiając poły kurtki. Z ulgą odetchnął głębiej i stwierdził, że zaczynał mieć paranoję. Myślał, że to granat, a to jakiś szczeniak chciał wybić szybę.

Wyjął kolejnego papierosa i pochylił się delikatnie, żeby go odpalić. Właśnie wtedy zobaczył swój cel. Mignął koło niego. Zobaczył tylko mieszaną barw, które wcześniej zapamiętał ze zdjęcia. Długie blond włosy. Prochowiec. Wysoka sylwetka. Więcej nie było mu trzeba. Zerwał się z miejsca, ruszając ostro biegiem.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że wybrał złą porę. Ulice były zapchane ludźmi, jak to w czasie lunchu. Pchali się i z niezadowolaniem patrzyli, kiedy poszturchiwał ich i co chwile tracił prędkość. Ktoś za nim krzyknął i ściągnął na niego uwagę celu. Zobaczył jego twarz dosłownie przez moment, ale to go upewniło, że się nie pomylił. Jego ofiara też przyśpieszyła, wiodła go w bardziej wyludnione uliczki. Facet był duży, tak jak powiedział mu zleceniodawca, a mimo to ruszał się perfekcyjnie. Wymijał każdego przechodnia, rozmazując się w szaleńczym biegu i niespodziewanie wyskoczył lekko w powietrze by chwycić się jednego z parapetów. Idealnie zsynchronizowanymi ruchami wspiał się na ścianę. Zapierając o kolejne okna, prędko podciągał się w górę.

Zabójca uśmiechnął się do siebie. To go nie mogło powstrzymać. Znał tą sztuczkę. Sam dobiegł do kamienicy i wybijając się w biegu, chwycił metalowej poręczy zdobionego balkonu. Kilka mocnych pchnięć i podskoków, i był już na czerwonym dachu, mając swój uciekający cel nadal przed sobą. Ruszył ostro, krusząc pod stopami dachówki. Spadały ciężko na ziemię, gdy jego kroki dudniły po ceramicznej powierzchni. To jednak nie miało znaczenia, okrzyki jakiś gapiów też go nie obchodziły, bo dobiegał do ściganego. Słyszał nawet jego przyśpieszony oddech.

Ten wyraźnie przyśpieszył i raptownie wybił się kolejny raz do przodu. Gładki skok przeszył łukiem powietrze i blond facet wylądował z całym impetem na dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy. Nieznajomy przystanął nawet na chwilę i obejrzał się do tyłu, jakby na niego czekał. Bawił się z nim! Wiedział, że zaraz umrze i się z nim bawił. Na pełnych ustach i w niebieskich oczach jego celu pojawiło się zadowolenie, a to wkurzyło go jeszcze bardziej. Przyszykował się do skoku i wybił wysoko w powietrze. Zanim jednak zdążył wejść w krzywiznę lotu,

coś raptownie podcięło mu nogi. Spadł. Głuche tapnięcie jego ciała odbiło się echem wśród pustego podwórka kamienic. Ból ogarnął jego zmysły i ostatnim, co słyszał przed utratą przytomności, był czyjś śmiech.

Dusił się. Niewyobrażalny ciężar spoczywał mu na piersiach, nie pozwalając płucom pompować powietrza. W ostatnim, przesiąkniętym paniką wysiłku, na oślep zamachnął rękami. Szarpnięcie zadziało i poderwał ciało do góry, zrzucając z siebie balast. Zachłysnął się pierwszym oddechem, a po jego twarzy rozmały się strużki łez, pomieszczone z krwią, potem i ziemią.

Salwa z Saligii rozwalila ich kryjówkę na strzępy. Okop runął jak zdmuchnięte wiatrem liście i zawałił się wprost na niego. Przeżył cudem, kruchy jak papier, człowiek pośrodku rzezi boskich istot.

Smarknął i plunął czarną ziemią, wciąż ledwo widząc przez drżący filtr z rzęs oplecionych małymi grudkami piachu. Zgrzytał mu też w zębach i szczypał, pozbijany w każdą najmniejszą ranę.

Smród dotarł do niego jako ostatni. Uderzył znienacka, podcinając na nowo dygoczące z wysiłku nogi. Pociski już nie świstały nad jego głową, ale zabijał ten fetor. Spalone mięso, żółć, ekskrementy. I krew, z jej żelazną ciężką wonią. Z każdym podmuchi wiatru smród jeszcze nabierał mocy. Wwiercał się w nozdrza i wykręcał trzewia na lewą stronę, nieubłagane popychając zawartość żołądka ku górze.

Spazm wymiotów targnął jego słabym ciałem. Widział w życiu tyle śmierci, sam zadawał ją z taką wprawą, a teraz rzygał jak kot, na czworaka, na polu pełnym truchłał powykręcanych w ohydne konstrukcje. Dłonie zapadły mu się aż po nadgarstki w bagniste teraz podłoże. Grzaska ziemia nasiąkła krwią wiecznych istot, lepiąc się do jego bladej skóry. Armia Imperium Bogów przeszła, zostawiając za sobą płacz i zgrzytanie zębów. Smród, zgłiszcza i ognie dogasających ciał.

Cień przemknął nad jego sylwetką, gdy czołgał się w kierunku Azehiela. Rozmazana postać wylądowała tuż przy ciele demona, gołe stopy nurzając w błotnistoczerwonej ziemi...

Ocuł go dopiero przenikliwy ból. Nie był scentralizowany, ale napływał wraz z kolejnymi falami chłodu. Rozsadzał jego klatkę piersiową, zgniatał jak

w imadle stopy i palce u rąk, zmuszał aby otworzył usta i zaczerpnął haust powietrza, podszyty paniką. Jego zmysły wróciły do niego jak za ukłuciem szpilki, tyśiąca szpilek przenikliwego zimna. Miał wrażenie, że jego ciało skuło się lodem, ale kiedy powoli rozwierał oczy zobaczył jedynie bezkresną ciemność i swoją obnażoną sylwetkę.

Wisiał. Wisiał jakby rozparty na krzyżu, a pod stopami miał przepaść o nieokreślonej głębokości. Wyglądała jakby sięgała jadra ziemi. Skapująca woda z jego ciała opadała miękko w jej czern, by odbić się gdzieś w głębi przeszywającym echem. Ten dźwięk był jak przepowiednia tego, co mogło się z nim stać, gdyby nagle przytrzymujące go więzy puściły.

Spróbował podnieść obolałą głowę. Każdy najmniejszy szmer odbijał się w niej bólem i miał wrażenie, że ten upadek nie obył się tym razem bez wstrząśnienia mózgu. Przeklął w myślach swoją brawurę i chęć popisów.

Świat lekko wirował mu przed oczyma, a w trzewiach niebezpiecznie zbierało się na mdłości. Do tego ciągle czuł to nieprzyjemne imadła, jakąś siłę, która rozciągała jego członki. Potoczył wzrokiem po swoim boku zdobionym tatuażami, które miały przynosić mu szczęście i spojrzał na uwięzioną rękę. Nie był pewny, czy to, co zobaczył, to były jeszcze jego mary senne, czy może już dzienne przewidzenia, ale w około jego nadgarstków czaiło się coś czarnego, co ostrymi szponami wzbijało się w jego skórę ramion, oblepiało palce i spoglądało na niego czerwonymi ślepiami. Gdzieś w oddali widział koniec lepkiej i lekko przeźroczystej mazi, przyczepiony do półki skalnej. Szarpnął ramieniem, a rzeczywisty przebłysk bólu, uświadomił mu, że coś w tym widziadle jest zdecydowanie nie tak. Szpony wbiły się głębiej i pazurami zaorały jego skórę aż do krwi.

– Co jest, kurwa...? – przeklął tym razem na głos, marszcząc brwi z kolejną falą bólu. – Ibn al kalb...²⁶

W wysiłku spuścił głowę i wzrok. Okazało się, że jego nogi są w tej samej pułapce.

– To nie psy, a moje prywatne demony – rozległ się w przestrzeni czyjś delikatny, głęboki głos – Dusze tych, którzy zaprzędali swoje istnienia za chwilę roz-

²⁶ psi synu

koszy – wyjaśnił spokojnie, dolatując gdzieś z dołu – Witam moich włościach Saqr²⁷.

Mężczyzna usłyszawszy swoje imię zebrał się na jeszcze jeden wysiłek i znów uniósł głowę, szukając w przestrzeni centrum tego głosu. Zogniskował wzrok na łunie światła dobiegającego gdzieś z dołu. Na małym cyplu, jakiejś półce skalanej, paliło się ognisko. W jego żółtych i czerwonych płomieniach buchających ku górze stała postać. Spodziewał się, że skrzyżuje spojrzenie ze swoim celem. Pomylił się. Mężczyzna był wysoki i bardzo szczupły, nawet nienaturalnie szczupły. Jego pociągła twarz w kolorach szarości, nie wyrażała żadnego uczucia. Przynajmniej nie widział ich z tej odległości. Spostrzegł za to bardzo dokładnie dziwny kolor oczu. Ni to niebieski, ni to fioletowy, mieniący się w raz z iluminacją ognia. Jasne źrenice przewiercały Saqra swoim intensywnym spojrzeniem, jakby chciały odczytać z niego najmniejsze uczucie strachu. Zawiodły się, bo w mężczyźnie ukrzyżowanym nad przepaścią, nie było nic poza irytacją i lekkim zniecierpliwieniem.

– Jesteś niewierzący... – stwierdził mężczyzna na dole, uśmiechając się nieznacznie. – Nie spodziewałem się tego po arabie.

– Pół arabie... – wysyczał schwytyany wyjaśniająco, znów szarpiąc ręką.

Mary zacisnęły się na nim jeszcze bardziej i tym razem to jego nogi poczuły jeszcze dotkliwiej ich miażdżącą siłę.

– Tym gorzej dla ciebie. Nasza rozmowa będzie trwała dłużej, niż sądziłem – zasepił się brunet, lekko pocierając swoją ogoloną na gładko twarz i ponownie skupiając na złapanym swoje wścibskie spojrzenie.

Raptownie nieokreślony szum przeszył przestrzeń. Szelest jakby tkanin i szcęk metalu dotarł do uszu Saqra. Assasyn popatrzył w dół. Na pewno nafaszerowali go jakimś narkotycznym gównem, bo oto na plecach nieznajomego wyrosły dwa potężne skrzydła mieniące się w płomieniach szaro sinym kolorem. Kilka piór wymknęło się z konstrukcji i pofrunęło szybko ku górze, zabrane przez wiatr i ciąg ognistego powietrza. Otarły się o policzki Saqra już jako delikatne pyłki popiołu.

²⁷ Sokół

– To jakiś karnawał? Nowe stroje? – spytał zabójca z kryjącą się ironią w głosie. Syknał nagle, gdy demony niespodziewanie zwężyły swój uścisk jeszcze bardziej.

Mężczyzna na dole ściągał właśnie strzępy garnituru rozdartego w ferworze uwalniania skrzydeł.

– Dowcipny, podoba mi się... – szepnął do siebie nieznajomy, a na jego ustach znów wykwitł uśmiech.

Podskoczył do góry i już po chwili wzbił się w powietrze, by z lekkością zatrzymać się tuż przy twarzy Saqra.

Zrównując się z asassynem zaczął z bliska studiować jego postać. Na początku zapałszył się w ciemne oczy, wyzierające spod fal kruczonych włosów. Dla Anioła było w nich coś dzikiego i śmiesznego zarazem. Cała zwierzęca natura, instynkt mordercy Saqra i hardość kryła się w czarnym spojrzeniu. Było tam coś jeszcze – nienawiść, nie tylko skierowana w nieznajomego, ale i cały świat.

Skrzydlaty przekrzywił głowę, oddalając cię odrobinę od człowieka jednym, lekkim machnięciem pierzastej konstrukcji. Spojrzeniem powiódł w dół, po nagej sylwetce zabójcy, oceniając ją ze skupionym wyrazem twarzy, jakby od dokładności tego oszacowania, zależała jego cała przyszłość. Wzrok Anioła przesunął się po zgrabnej linii barków, zarysowanych mocno obojczykach, które przechoodziły w smukłą linię wolno opadającego brzucha i dalej, po silne nogi. Widział dokładnie nie tylko zarysowane pod skórą mięśnie, ale i drgające z wysiłku wytrwale ścięгна oraz pulsujące życiem tętnice. Wszystko to było dla niego kruche i nieistotne. Mógł zniszczyć to życie, jednym gestem dłoni, rozerwać ciało Saqra i patrzeć jak marne kości spływają krwią. Wszystko to było dla niego nawet obrzydliwe. Nieidealne i błahe, nieistotne dla jego własnego wiecznego bytu. Nie liczyło się to, że mężczyzna był jednym z lepiej wyposażonych do życia ludzi. Prawda, miał ogromne możliwości, jednak jego talenty nie dorównywały choćby w jednym stopniu mażącej sile żołnierzy Armii Imperium Bogów. Nawet teraz dziwił się, dlaczego jego Pan zaczął werbować do ich szeregów śmiertelników. Nie mieściło mu się w głowie, jak te nieznaczące gnidy ziemskie mogły być im przydatne w planowanej zagładzie? Były słabe, chciwe i nigdy nie zasłużyły na życie. Tylko dzięki śmiesznemu przypadkowi w ogóle istniały. Powinny być zgładzone już dawno, mimo to Pan miał względem niektórych z nich jakiś inny,

głębszy plan. Anioł czuł do niego niechęć, mimo to nie był, ani Lucyferem, ani Belzebubem a tym bardziej Memnochem... Nie mógł się sprzeciwić, dlatego wyładował tutaj, na zadupiu wszechświata i werbował w ich szeregi najlepszych śmiertelnych. Kundlów takich jak ten przed nim.

Westchnął głęboko, kręcąc niedowierzająco głową nad swoim losem. Z wymalowanym niezadowoleniem na pociągłej i poszarzałej twarzy znów powrócił wzrokiem do oczu Saqra.

– Twoja matka była bardzo mądrą kobietą – odezwał się nadal spokojnym głosem i delikatnie dotknął tatuażu na lewym boku i barku mężczyzny.

Arabskie litery, ułożone w fantazyjne wzory, zdobiły skórę kunsztowną arabską.

– Szkoda tylko, że nie wiedziała o tym jak te bzdetne zaklęcia są nieznaczące wobec oficerów Pana.

Mężczyzna spojrzał na niego z jeszcze większą złością wymalowaną w przy-mrużonych oczach.

– Skąd znasz moją matkę? – szepnął spierzchniętymi wargami. Chciało mu się pić, mimo wilgoci jaką czuł w powietrzu i już wiedział, że gorączka brała nad nim górę.

– Hessa²⁸ była wielką czarownicą, ale nie wierzyła w nas. To ją zgubiło. Nie chodzi wśród kwiatów Elizjum, jest na dole – wyjaśnił Anioł, sugestywnie kierując spojrzenie swoich płynnych źrenic w głąb leja. – Ty jednak możesz to zmienić.

– Ta? – prychnął asassyn, zaczynając charczeć przez coraz bardziej wysychające gardło. – Niby jak? Zrobić ci dobrze? Telhasi tezie...²⁹ – wysyczał gardłowo, wywołując kolejny uśmiech na twarzy wiecznego.

– Czarujące... – szepnął nieznajomy, powstrzymując się przed jakimś gwałtownym ruchem, który mógłby zmieść tą ludzką gnidę z powietrzni ziemi. – Skoro to cię nie przekona do współpracy, to może pokusisz się o zbawienie świata?

Tym razem głośnie prychnięcie scalało się z kapaniem wody.

– To jakaś nowa sekta? Zabijacie jakieś ogromne ptaki i czcicie ich trupy?

²⁸ przyszłość

²⁹ Pocałuj mnie w dupę...

W płynnych oczach Anioła nagle załśniły płomienie. Zaogniły się od hamowanej wściekłości, gdy tylko jego posłuszeństwo wstrzymało reakcje. Podniósł go góry dłoń, dając znać demonom, by zacieśniły więzy. Saqr poczuł jak jego wszystkie tkanki zaczynając się napinać do granic możliwości.

– Nie boję się śmierci – wycharczał kaszląc, gdy ciśnienie w jego głowie sięgnęło zenitu, miażdżąc powoli płuca.

Zdobył się jeszcze na złośliwy uśmiech, gdy pierwsza kość ręki chrupnęła w nim, łamiąc się boleśnie.

– Swojej nie – odparł nieśmiertelny – Za to na pewno byś nie chciał, żebym spotkał się z twoim ojcem i przedstawił mu moje demony?

Sploszony nagle wzrok człowieka wbił się w postać Anioła. Saqr zagryzł usta, hamując okrzyk narastającego cierpienia, nie chcąc dać poczucia satysfakcji temu sukinsynowi. Niemo czekał na jego dalsze słowa.

– Pewnie interesuje cię skąd o nim wiem? – spytał nieznajomy, śledząc znużonym wzrokiem swoje wypiełgnowane paznokcie. Dał znak gestem dłoni by jego pupilki zaprzestały tortury. – Nazywają mnie Lazariuszem, Lekarzem ludzkich dusz. Pan wysłał mnie na ziemię bym cię odnalazł, bo chce, byś zrobił dla niego małą przysługę. Na ziemi przebywa kilkunastu Wielkich z podziemi. To demony władające, które w ludzkim ciele uciekły przed wolą Boga Najwyższego. Wiemy kim są, jednak nasza... – zawahał się na moment, szukając odpowiedniego słowa i znów uśmiechnął się miło. – Nasza jurysdykcja tutaj nie sięga.

– Chcesz, żebym zabił demona? – spytał Saqr, oddychając teraz z ulgą. – Człowiek, demona? Skoro wy nie możecie...

– Z tego, co wiem, jesteś najlepszym płatnym zabójcą Europy, do tego nie wierzysz w nic, co niematerialne. To powinna być pestka, przy mojej drobnej pomocy – wyjaśnił teraz już delikatnie Lazariusz. – Zresztą, demon to złoczyńca jak każdy inny. A skoro zabijasz tylko złoczyńców...

– Jesteś jakimś wariatem – warknął mężczyzna, niezadowolony ze swojego położenia.

Gdyby tylko miał wolne ręce... Gdyby tylko mógł zareagować, ten pokręt już by nie żył.

– Zgoda – odpowiedział nagle, z nowym przeblyskiem świadomości.

Zawsze mógł rozprawić się z tym nędznikiem po wypełnionym zadaniu, kiedy spotka się z nim na własnym gruncie. Wtedy czy jest jakimś cholernym Aniołem, lekarzem czy pies wie czym... Zabije go tak samo jak swoją ofiarę.

– Co to za... Demon? – spytał podkreślając ostatnie słowo i wymawiając je wyraźnym niesmakiem.

– Główny generał Armii Piekieł i prawa ręka Memnocha, Azahiel – odpowiedział Anioł z obrzydzeniem artykułując tytuły. – Ten sam, którego ścigałeś dziesięć godzin temu.

– Generał czy nie, i tak zabiję skurwysyna – zaśmiał się krótko Saqr i poczuł jak więzy puszczają.

Raptnie ból w nadgarstkach ustąpił, by na jego miejsce wstąpiło powolne uczucie opadania. Tym razem upadek nie był cierpieniem. Miękkie podłoże ukołysało jego obolałe ciało.

numer 3, wrzesień 2001

Za nami drugi numer **@tramentu**, przed nami praca nad kolejnym... Temat, który zamierzamy wziąć na warsztat we wrześniu to **pamięć** – jej funkcja, cechy, właściwości... Z pamięcią bezpośrednio związane jest wszystko to, co minione, gdyż nie da się jej pojąć, dotknąć, zobaczyć, mamy jej świadomość tylko z perspektywy mijającego czasu, który pozwala dostrzec jej istnienie. Pamięć to przede wszystkim możliwość zachowania cennych wspomnień, ale również źródło bólu i wyrzutów sumienia, w momencie, gdy nie możemy zapomnieć o czymś, co nas gnębi. W pamięci przechowujemy wszelkie ważne chwile naszego życia, bliskie osoby – te, które ciągle są przy nas i te, które już odeszły, obrazy, słowa. Pamięć pozwala nam zapamiętywać, uczyć się, nabierać doświadczenia. Jest czymś niezwykle istotnym w życiu każdego człowieka i zarazem kopalnią niekończących się pomysłów na teksty, inspirowane właśnie tym pojęciem. Dlatego serdecznie zapraszamy do udziału w tworzeniu kolejnego wydania naszego elektronicznego magazynu.

Mamy nadzieję, że **@trament** wyzwoli w Was chęć tworzenia, dostarczy pomysłów i chęci do pisania i że zechcecie się podzielić z nami owocem Waszej pracy.